

Ryszard Dzieszyński

W 60 rocznicę śmierci Jana Raka

ODZIEDZICZONE FATUM

I.

W odległości kilkunastu kilometrów od Łańcuta leży wieś Husów — dawna kolonia osadników saskich, z parafią założoną w 1450 roku. Ma bardzo malownicze położenie, jest rozrzucona między wzgórzami, pośród krętych strumyków. Na jednym z takich pagórków, przycupnęła na zboczu na pół zapadła w ziemię mała kryta strzechą niebieska chatupinka. Jest to jeden z unikalnych w skali krajowej zabytków drewnianego budownictwa ludowego, pochodzi bowiem z 1720 roku. Spędził tu swe życie ludowy poeta Jan Rak.

Urodził się w 1820 roku w Husowie, w rodzinie zasiedziały od wieków chłopów pańszczyźnianych. Do szkoły nie chodził. Czytania i pisania nauczył się podczas jednej zimy, wspólnie z pięcioma chłopcami na plebani husowskiej. W domu rodzicielskim panował niezwykle, jak na pańszczyźnianych chłopów kult książek. Jako najmłodszy z kilkorga dzieci nie otrzymał nic w spadku po ojcu. Musiał zająć się ścinaniem drzewa w pańskim lesie. Pisał we „Wspomnieniach pijackich”: „Pracowało się jak koń, piło się, jak bydło”. Był rzeczywiście jednym z najtęższych pijaków z całej okolicy. Okres ten wspominał potem z niesmakiem. Swym jedynym, dosadnym stylem opisywał kompanów zamroczonych alkoholem:

Łaził po pocy, kiej bachor
na czworakach
A wył, a piszczał, kiej pies,
albo wilk jaki
Teraz się uciszył, zaparł
słupie, ale mruczy
Boruczy, siwula rozumu go
uczy
Pewnie wódka się zajęła i
ogniem się pali!
Widziałem czym nieboszczyka
taki ogień zalał.

Do końca życia zachował Rak wstręt do alkoholu. Z równą namiętnością zwalczał też nałóg palenia tytoniu.

Doszedłszy do lat dojrzałych, Rak zajął się zawodami rękodzielniczymi. Był tkaczem, kapelusznikiem, koszykarzem, malarzem i rzeźbiarzem. Zasłynął w całej okolicy, jako niezrównany kpiarz i dowcipniś, znano go też z ciętości języka. Występując na weselach jako družba, wyżywał się w swej pasji poetyckiej, układając niezrównane w swej plastyczności i jędrności przyspiewki. Obawiano się go z racji tych zdolności, i uważano za człowieka — wedle wyrażenia prof. Tadeusza Seweryna — który „nie na darmo daje gębę jeść, a język ma nie od parady”.

Nie był to jednak człek bezmyślny, szukający w życiu je-

chłopskiego pisarza, zresztą chyba on sam nie traktował jej zbyt poważnie. Był przede wszystkim zamiłowanym bibliofilem. Lubił czytać i cieszył się każdą nową lekturą. Szczególnie przejawiało się to w jego okresie młodzieńczym. W miarę dojrzwania umysłowego, stawał się coraz bardziej krytyczny i wybredny. Szczególnie nieufny był wobec bisemek ludowych, dość popularnych wśród chłopów, co wyraził kiedyś lapidarnym wierszykiem:

Daj na pisma ludowe
nabij nimi swą głowę
potem poznasz po chwili
że cię tylko łudzili.

dura przez dłuższy czas korespondował z chłopskim poetą i przebywał w Husowie. Ale Rak nie wspominał go zbyt życzliwie. Będąc z natury nieufny, zastanawiał się, po co Badurze owe „gadki, baśnie, dziwy”, które wyciągał od niego ciekawski etnograf. „Chyba po to, aby wydrukować je potem w mieście, w gazetach, żeby mieszczaństwo mogło się śmiać z ciemnego narodu”. Poza tym Badura zasłynął w okolicy, jako wielki kpiarz, szydzący z poczciwych kmotków. Otóż podał się za kłeryka i przyjął posadę nauczyciela dzieci miejscowego leśniczego. Podstęp



dynie zabawy i rozrywki. Obdarzony dużą inteligencją i darem obserwacji, pilnie śledził wydarzenia zachodzące nie tylko w rodzinnej wiosce, czy też nawet w Galicji. Był świadkiem rzezi galicyjskiej w 1846 r., z niepokojem patrzył na kleskę rodaków zza kordonu w 1863 roku. Dał temu wyraz w jednym z wierszy. Czytając go, oczami wyobraźni widzimy taki obrazek: były chłop pańszczyźniany, siedzący w karczmie przy kieliszku wódki ze smutkiem malującym się na obliczu i z obrzydzeniem spoglądający na tańczącą i hulającą gawiedź. Smutny, bo za kordonem górne warstwy jego narodu płaczą krwawymi łzami niewoli, a on poczuł nagle, że również należy do tego narodu. Oto najpiękniejsza może chwila w życiu poety: przestał być cesarskim poddanym, poczuł się Polakiem.

Mając 36 lat Jan Rak ożenił się z 23-letnią Katarzyną Smucz. Zona wniosła mu w posagu kurną chatę oraz 2 morgi ziemi, z czego połowa stanowiła nieużytki. Rak stał się ojcem rodziny. W 1877 r., kiedy zaczynał być już sławny ze swych wierszy, nie tylko w granicach swej wioski, został pisarzem gminnym.

Pisać zaczął chyba jeszcze w czasach pańszczyźnianych, ale z tego okresu nie zachowały się żadne utwory. Nikt nie zajmował się wówczas twórczością

Namiętność pisania zwyciężyła wszystkie inne namiętności. Rakowi przychodziły do głowy coraz to nowe wiersze. Spisywał je, na czym tylko dało się: na odwrocie okólników gminnych, certyfikatach weterynaryjnych, paszportach dla bydła itd. Ale przeważnie — jak opowiadała jego córka Zuzanna prof. Gabrielowi Leńczykowi — Rak swe wiersze obmyślał w nocy, a następnie rano brał jakiś bądź świstek papieru i zapisywał je.

Pisał znakomite cięte fraszki i melancholijne liryki. Poruszał mnóstwo tematów, począwszy od spraw prozaicznych codziennych, a kończąc na zagadnieniach metafizycznych. Rak był człowiekiem ogromnie wrażliwym zwłaszcza na nędzę ludzką i ból zwierzęcia. Prof. Tadeusz Seweryn słusznie uważa go za piewecę idei ochrony przyrody. Rak wrzeszał się krakaniem wrony, której odebrano pisklęta, dopatrywał się sensu życia w każdej roślince, a liść na drzewie nazywał swoim sąsiadem, i zwracał się do niego jak do brata. Szczególnie zadziwiający jest fakt, że Rak posiadał uczucie niesamowitości życia i tajemniczości świata. Miał szeroką skalę najdziwniejszych pomysłów literackich, skalę najsprzeczniejszych uczuć.

Po raz pierwszy wspominał o Raku etnograf Wincenty Badura w studium o Husowie, które zamieścił „Lud” w 1903 r. Ba-

udał się znakomicie, dopiero po jego wyjeździe dowiedzieli się husowianie, z kim mieli do czynienia.

Więcej uwagi poświęcił Rakowi Feliks Gwiżdż w artykule pt. „Pieśniarze wiejscy” zamieszczonym w 1905 r., w dodatku literackim „Kuriera Lwowskiego” pt. „Tydzień”.

Charakterystyczną cechą twórczości Jana Raka jest „nadmiar nieukozonej tęsknoty nad nadmiarem życia”. Rak całe życie spędził w rodzinnej wiosce. Od czasu do czasu bywał tylko w Łańcutcie. Jego wiedza życiowa obejmowała tylko sprawy Husowa i okolic, co najwyżej łańcutkiego powiatu. Wiadomości o świecie czerpał z książek i broszur, które z wielkim nakładem starań, pożyczką, skąd tylko dało się, przyswoił sobie język literacki i wyrobił dużą kulturę. Miał wrodzone poczucie piękna. W liście do Badury pisał: „Wszystko co miało jakąś wartość artystyczną, wysoce ceniłem. Z wielkim zajęciem lubiłem oglądać stare kaplice, klasztory, obrazy, figury, zamki...”

Feliks Gwiżdż wysoko ocenił literackie możliwości Jana Raka. Wedle niego, miał on talent publicystyczny Adolfa Nowaczyńskiego i dramatyczny Tadeusza

Ernest Bryll o teatrze plebejskim

W Teatrze Współczesnym odbywają się próby sztuki Ernesta Brylla „Po górach, po chmurach” w reżyserii Erwina Axera. Premiera przewidziana jest w początkach lutego.

Na temat sztuki przedstawił PAP rozmawia z autorem. — Moja sztuka — stwierdził Ernest Bryll — oparta jest na polskim folklorze, na tym rodzaju teatru ludowego, który wiąże się u nas z tradycją pastorałki. Starłem się, aby mój utwór związany był z tradycją, a zarazem stanowił próbę nowoczesnego na nią spojrzenia. Pragnąłem stworzyć tzw. teatr plebejski, oddziaływający na widza zaangażowanego w różnym stopniu w sztukę teatralną.

Mój utwór grany w Nowej Hucie pt. „Ballada wigilijna” odniósł niespodziewany zarówno dla mnie, jak i dla teatru sukces. Utwierdziło to zarówno mnie, jak i teatr w przekonaniu, że udało się nam trafić również do widza, który nieczęsto odwiedza teatr. Na takich widzach zależy mi szczególnie, ponieważ chciałbym ich przygotować do odbioru w przyszłości mojej poezji, moich trudniejszych sztuk, np. „Rzeczy listopadowej”.

Jak „Ballada wigilijna”, której właściwy tytuł brzmi „Po górach, po chmurach”, wystawiona będzie w Warszawie, trudno powiedzieć. Jestem jednak przekonany, że inscenizacja warszawska będzie się różniła od nowohuckiej. Moje teksty stwarzają znaczne możliwości dla inwencji reżyserkiej. Powiedziałbym, że połowa sukcesu zależy od reżysera. W Nowej Hucie był to bardzo interesujący debiut Ireny Jun. W Warszawie sztukę będzie reżyserować tak doświadczony reżyser jak Erwin Axer. W Nowej Hucie widownia wzbogaciła przełiczne melodie „Skaldów”. W Warszawie będzie z nimi konkurował Zbigniew Turski. Sądzę, że ta konfrontacja przyniesie ciekawe rezultaty.

Muszę stwierdzić, że interesują mnie jako autora zarówno „sztuki poważne”, takie jak „Rzecz listopadowa”, jak też utwory pisane dla teatru plebejskiego, do których zaliczam „Po górach, po chmurach” — bardzo bliskie teatrowi muzyki, z dużą ilością piosenek, czego spragnieni są ludzie przychodzący do teatru po rozrywkę. Zaczęłam nawet pisać nową tego rodzaju sztukę, którą po staropolsku nazwałbym może śpiewogrą. Wbrew pozorom te dwa kierunki moich zainteresowań wydają mi się bardzo bliskie. Oba przecież odwołują się do odczucia poezji u widza.

Muszę też wyznać, że mnie osobiście, jako autora, ogromnie bawi fakt, że w Krakowie, w którym grana jest moja sztuka poważna, dramatyczna, nawet tragiczna, ten sam widz może oglądać tuż obok, w Nowej Hucie, mój utwór innego rodzaju — pozwalający na oddech, rozluźnienie, spojrzenie na świat od innej strony.

(Rozmawiała:
J. Kapuścińska — KT-PAP)

ATMOSFERA OPOLSKIEGO KONKURSU miała w sobie coś osobliwego. Impreza zdecydowanie odchodziła od tradycyjnych przesłuchań recytatorskich; frapowała swoim nonkonformizmem, zachwycała urodą i świeżą specyfiką konkursu. Otóż od innych różniła się tym, że dopuszczała dużą swobodę repertuarową, zezwalała na tworzenie własnych niekonwencjonalnych form wygłaszania tekstów, przy tym można było pomóc sobie gestem, ruchem i rekwytem. Na koniec recytator zabezpieczony został w przywilej bronięcia swojej koncepcji i artystycznego pomysłu podczas dyskusji z jury i widownią.

Propozycji było wiele zróżnicowanych i ciekawych — chwilami stwarzających wrażenie, że jest się na spektaklu Teatru Jednego Aktora, czy komponencie programu estradowego. Przesunęła się granica od rygorystycznej recytacji w stronę sceniczną sztuki, znajdując czy odkrywając nie wykorzystane dotąd pogranicze bez szarżowania i zdecydowanego naginania w określonej dziedzinie. Z umiarem i wyważeniem oferowali amatorzy recytacji swój zamysł; artystyczne credo. Mniej było modnego intelektualizowania wygłaszanego tekstu na korzyść ekspresji, interpretacji osobistej, uczuciowej — szczególnie w utworach poświęconych martyrologii tak często łatwo wygrywanych dzięki zawartemu ładunkowi treści. W konfrontacji na opolskim konkursie wyraźnie wypłynęły potknięcia i błędy ale także zaskakowały formy nowe. Mówiąc o tym zestawiałabym dwie propozycje. Jedną z nich to transpozycja znanej (z festiwalu w Sopocie) niemieckiej piosenki „Róża była czerwona”. Recytacja, a właściwie melorecytacja — wygłaszanie tekstu na podkładzie muzycznym — dało wzruszającą kopię interpretacji sopockiego laureata, nie proponując nowego. Podobnie zawiodł pomysł mówienia „Grande Valse Brillante” (fragment „Kwiatów Polskich” Tuwima). Nie mogło się powieść, bo wartości tego tekstu już wydobyla wspaniała interpretacja, dynamiczny głos Ewy Demarczyk. Tego fragmentu mimo woli chce się słuchać w dzwiennej lecz znakomitej muzyce Koniecznego.

W kontekście takich inicjatyw nieoczekiwanie interesująco wypadła recytacja utworu pt. „Piosenka o dobrych Niemcach”. Nie była to forma słowno-muzyczna, nie zastosowano ilustracji muzycznej, wydobyto zaś monotonna melodię z tekstu kontrastującą z jego zawartością treściową. Efekt był duży.

Zatrzymaliśmy się chwilę przy zagadnieniu syntezy dwóch sztuk: muzyki i żywego słowa — ale nie to było podstawowym sposobem poszukiwań możliwości w sztuce

POMYSŁ OD „ZAPALONEJ ŚWIECY”

recytacji. Cały konkurs w swoim zamysłu był jednym wielkim eksperymentem, zrezygnował z utartych konwencji, zaczął tworzyć nowe i bez względu na to jak w przyszłości się rozwinię — dziś już zastępuje na uwagę.

Idea tak pomyślanego konkursu recytatorskiego zrodziła się wśród miłośników poezji i recytatorów skupionych przy Wojewódzkim Domu Kultury w Opolu jeszcze dwa lata temu. Sprężyną działania w urzeczywistnieniu myśli stała się mgr Wanda Hochecker, kierownik sekcji teatralnej. Zorganizowano najpierw zwykły klub zrzeszający najlepszych recytatorów ziemi opolskiej; potem wymyślono wojewódzki konkurs, a laureatom przybieciano nagrodę „zapalanej świecy”, która odtąd stała się emblematem, znakiem amatorskiej sztuki recytacji.

W tym roku celność pomysłu doskonale sprawdziła się na przygotowanym 1—2 lutego br. w Opolu Ogólnopolskim Konkursie Recytatorskim Klubu Zapalanej Świecy. Na apel inicjatorów zjechało ponad czterdziestu uczestników wytypowanych przez WDK — i z różnych części kraju.

Impreza w całości okazała się wręcz rewelacyjną, jako pierwsza tego typu. Odsoniono swoiste wartości sztuki, która istnieje dzięki licznym konkursom recytatorskim,

ale jednocześnie krzepnie i zastyga w swojej sztywnej umowności. Tutaj zostawiono swobodę — przez co wywołali się przeróżne możliwości, że nie sposób jest pozwolić sobie choćby na ich wyliczenie. Jedyną zasadą wydającą się słuszną dla pokazania cząstki specyfiki konkursu „zapalanej świecy”, będzie pobieżna prezentacja z najlepszych sześciu laureatów.

Zacznę więc od siódmej „zapalanej świecy” dla występującej poza konkursem Ewy Fabis z Opola. Interpretacja „Barw życia” by-

ła oszałamiającym majstersztykiem nie spotykanym chyba dotąd na konkursach recytatorskich. Właściwie trzeba powiedzieć, że utwór (którego Ewa jest też autorką) nie byłby utworem. Kilka wyrazów powtarzanych przez recytatorkę ożywały nagle w dziecinnej ciekawości, rosły w dziewczęcym wdzięku, zastygały w dojrzałości. Aż wierzyć się nie chciało, iż tylko trzy słowa: „dlaczego, tak, nie” — cieniowane w doskonałej interpretacji daly kolory życia, stworzyły plastyczną wizję konkretnych sytuacji.

Wracając jednak do szóstki laureatów. Bez specjalnych kombinacji można ich podzielić na trzy podwójne grupki. Ze względu na dobór, artystyczne umiejętności i rzadko osiąganą w recytacji czynnik zabawy — zawarli — żywą, spontaniczną więź z publicznością dwaj recytatorzy. Jednym był Stanisław Pawlik przedstawiciel Rzeszowa, drugim Wacław Tymiński z Łodzi. Obaj posłużyli się tekstami K. Tetmajera, wyróżnili się natomiast sposobem recytatorskiego wykorzystania. St. Pawlik porzywał siłą i pasją; kreśląc sugestywne obrazy scenicznej sytuacji o tym jak „Janosik tańczył z cesarżową”. Tymiński urzekł gawędą, Sabatowym bajaniem „O Zwertale muzykancie” swobodnie operując gwarą podhalańską.

Zapalone świece otrzymali także Janusz Świerczyński z Łodzi za montaż wierszy Brylla i fragment „Dancingu w kwaterze Hitlera” — Brychta oraz jego rodaczka Katarzyna Spolińska za interpretację wierszy Baczyńskiego.

W swojej umownej kolejności zestawiała jeszcze dwie recytacje wybijające się dzięki prostocie, oszczędności, a nawet zupełnemu zrezygnowaniu z prawa gestu czy ruchu. Tylko ze słów wynikały wyraziste, przekonujące sytuacje. Sukces odniósł nieruchomy recytator Stanisław Skrzypczak (Poznań) w rozmowie z kanarkiem („Kanarek” Afanasjewa) i młodzieńka reprezentantka Rzeszowa — Teresa Wójtowicz. W jej wykonaniu „Fortepian” Chopina Norwida słuchało się jak wirtuozowskiego koncertu, nabrzmiewającego uczuciem i sugestią interpretacji. Uzasadniając swój wybór, określając z zażenowaniem swoje artystyczne credo przed widownią i jury Teresa powiedziała: „Chciałam złożyć hołd dla wielkości Chopina i wielkości Norwida”. Zapalona świeca dla Teresy Wójtowicz była jedną z sześciu dla najlepszych opolskiego konkursu.

Pozostaje jeszcze sprawa organizacji konkursów, przeglądów, festiwalu. I pod tym względem impreza opolska zapowiadała się bez tzw. „balaganu artystycznego”. Przez dwa dni nie było poważniejszych zakłóceń; uczestnicy występowali, burzliwie dyskutowano nad propozycjami, fachowe jury (w składzie Cz. Meisner teoretyk recytacji, recytator i autor wademecum recytatora — w jednej osobie, Lech Śliwonik przedstawiciel Centralnej Poradni Amatorskiego Ruchu Artystycznego oraz Juliusz Zawirski aktor Teatru Ziemi Opolskiej) jawnie uzasadniały i oceniali poszczególne recytacje. Szkoda tylko, że w trzecim dniu przez niedopatrznie organizacyjne zabrakło czasu dla wypełnienia tych założeń.

Wypada jednak żywić nadzieję, że w następnym Ogólnopolskim Konkursie „Zapalanej Świecy” te drobne, dla niektórych trochę przykre wrażenia zostaną wyeliminowane w konkurencji z pomysłowością organizatorów.

JUSTYNA WOS



Stanisław Pawlik
Fot. R. REMMERLING

ODZIEDZICZONE FATUM

(Ciąg dalszy ze str. 1)

Micińskiego. Ale talenty te zostały znarnowane i to bynajmniej nie z winy Raka. Winę za to ponosił ustrój społeczny, zamykający drogę do awansu społecznego klasom żyjącym jedynie z pracy własnych rąk. Prawdę tę wyraził Gwiżdż w sposób nieco zawołowany:

„Niestety, źródło nie mogło wytrysnąć szeroko. Natrafilo na ciężki kamień i nie mogąc go rozzerwać, rozplynęło się na drobne smutne strumyki.”

Rak żył 89 lat. Zyskał sobie powszechny szacunek we wsi nie tylko z racji swego doświadczenia życiowego, ale również dlatego, że potrafił bronić interesów chłopskich. Z tego powodu musiał odejść ze stanowiska pisarza gminnego w 1889 r., ponieważ gromadził założenie kasy pożyczkowej, na co nie zgodziły się dwór i plebania. Dla obu tych instytucji byłoby lepiej, gdyby chłopskie oszczędności znalazły w ich rękach. Rak nie pozwolił na to. Pieniądże zostały ulokowane gdzie indziej. Tego było za wiele księdzu i dziedzicowi i Rak został zdymisjonowany.

Ale ludzie pamiętają Raka do dzisiaj. Władysława Styś, która była jego najbliższą sąsiadką, wspomina go z rozrzewaniem.

— „Był to chłopek mały, ale bardzo elegancki. Trochę się go bałam, bo miał taki przenikliwy wzrok, ale gdy lepiej mu się przyjrzałam, to okazało się, że ma spojrzenie miłe i łagodne. Miał długie włosy i wąsy. Nosił koszulę konopną na wierzchu, a na niej — płótniankę. Był bardzo grzeczny i uprzejmy, nigdy się nie kłócił z nikim. Ludzie lubili chodzić do niego po poradę. On zaś podparł głowę rękami i

długo myślał, aby nie powiedzieć byle czego.”

Rak był wszechstronnie utalentowany. Jego rzeźby można jeszcze dzisiaj oglądać u mieszkańców Husowa. Szczególnie lubił rzeźbić laski z głowami zwierząt i ptaków. Było to dodatkowe źródło jego dochodów. Za laskę brał ok. 20 centów, ale często po prostu ofiarowywał je. Natomiast w Muzeum Etnograficznym w Krakowie do tej pory znajduje się kilka rzeźb Raka, m. in. artystycznie wykonane krucyfiks.

W muzeum tym znajdują się także dwa rękopisy Jana Raka. Kupił je od syna Raka, Andrzeja, prof. dr Gabriel Leńczyk, archeolog rodem z Husowa i ofiarował muzeum. Pierwszy z nich zatytułowany „Poezje i listy Jana Raka”, składa się z 34 kartek. Jest to podręczny notatnik, który poeta zaczął prowadzić w 1889 r., skończył zaś w 1896 r. Znajdują się tam bruliony listów, luźne zapiski, adresy, jakieś szkice, urywki wierszy, parę pieśni ludowych i koled. Zeszycik ten, to po prostu formularze paszportowe dla bydła, znajdują się w nim bowiem rubryki, a w nich notatki, w rodzaju: „klacz cisawa ze zrybięciem”, „koń mrowiasty siwy”, czy też „krowa cechowana na rogu”. Drugi zeszyt oprawny w skórę, zawierający 100 utworów. Najprawdopodobniej Rak zaczął go prowadzić od 1895 r. Zaczyna się od wspomnień z czasów dzieciństwa, potem pańszczyzny. Ale wkrótce autor zaczął zapisać zeszyt bezplanowo, a od 1899 r. do 1907 r. w ogóle nie interesował się nim.

I nagle w 1907 r. Rak na nowo zainteresował się swym almanachem. Zaczął raptownie pisać, jakby czując zbliżającą się kres życia. Bywały dni, że napisał dwa lub trzy wiersze, co poznał

po tym, że sygnował je dokładnymi datami. Ostatni wiersz z almanachu pt. „Wiek XX” nosi datę 3 grudnia 1908 r. Chyba Rak nie spodziewał się, że będzie on aktualny w naszych czasach. Tak samo bowiem, jak z czasów Raka, „duch niezgody podżęga”, a świat balansuje na krawędzi wojny. I tak samo, jak chłopski poeta sprzed 60-ciu lat wierzymy niezłomnie, że:

Choć nie tejsze jesieni
Zło na lepsze się zmieni

II.

Rak pozostawił córkę Zuzannę i dwóch synów. Byli oni gospodarzami w Husowie. Syn jednego z nich, Andrzej — Jan Rak mieszka na Ziemiach Zachodnich i pracuje w Wytwórni Instrumentów Muzycznych. Zuzanna zaś wyszła za mąż, lecz mąż wkrótce opuścił ją i zamieszkał z inną kobietą. Zuzannę zaopiekowała się przybyła z daleka kobieta z ośmioletnią córeczką. Zuzanna potrzebowała stałej opieki, ponieważ była ciężko chora. Mimo to dożyła, podobnie jak ojciec, późnego wieku i zmarła dwa lata temu. Oddziedziczyła po nim zamilowanie do książek, czytała je nawet przy skąpym świetle księżycy, znała też dużo opowieści i bajek ludowych.

Córka opiekującej się nią kobiety z osiągnięciem dojrzałości w 1942 r. wyszła za mąż za Władysława Ferencę. Umierając, Zuzanna zapisała w testamentie Ferencem na własność chałupę i grunt. Tam też Ferencowie gospodarzą do tej pory.

W 1959 r. Powiatowa Biblioteka Publiczna w Łańcutu zorganizowała uroczyste obchody 50 rocznicy śmierci Jana Raka. Urządzono we wsi wystawę pamiątek po poecie, miejscową szkołę nazwano jego imieniem, a

staraniem nauczycieli i dzieci został ufundowany na miejscowym ementarzu pomnik.

Wtedy przypomniano sobie o starej chacie pańszczyźnianej, zamieszkałej przez 4-osobową rodzinę Ferenców. Zaczęli do niej pielgrzymki historycy sztuki, etnografowie, wreszcie działacze kulturalni. Chata jest już mocno nadgrzyzona zębem czasu. Jakby nie było — liczy sobie 250 lat. Drewniana konstrukcja grozi zawaleniem, słomiany dach — pożarem. Jednocześnie w czasie deszczu dach ów przecieka. W środku chałupy mieszczą się: izba, kuchnia, obora i komora. Niski sufit, ciasne i wąskie pomieszczenia, małe okna, klepisko zamiast podłogi sprawiają, że chata nie nadaje się zupełnie do zamieszkania, nie mówiąc już o tym, że stanowi niebezpieczeństwo dla życia i zdrowia ludzkiego.

W tej sytuacji Ferencowie zaczęli myśleć o wybudowaniu innego domu. Zgromadzili materiały budowlane i chcieli przystąpić do pracy. Ale, żeby postawić nowy budynek, trzeba rozbrajać stary. Ferencowie nie posiadają innego miejsca na zabudowę. Najprościej rozwalić, już i tak walącą się budę, lecz Ferencowie wzdrali się przed takim drastycznym rozwiązaniem. — „Nie chcę być mordercą tego domu — rzekł do mnie Władysław Ferenc. — Niech służy celom kultury. Ale niech pan powie, co ja mam robić?”

Ferencowie od lat apelują do różnych instytucji i urzędów, celem spowodowania przejęcia chaty, jako obiektu zabytkowego przez Skarb Państwa. I oto Wojewódzki Konserwator Zabytków w Rzeszowie decyzją z dnia 20 kwietnia 1968 r., na podstawie ustawy o ochronie dóbr kultury i muzeach — wpisał chałupę Jana Raka do rejestru zabytków nieruchomych.

Ferenc nie może już bezkarnie rozwalić domu, tak jak to mógł uczynić przedtem. Czy w takim razie ma nadal mieszkać w warunkach gorszych, niż chłop pań-

szczyźniany? Czy Ferenc oddziedziczył po Raku fatum, które ciążyło na nim przez całe życie, fatum które nie pozwoliło mu rozwinąć skrzydeł tak, jak na to zasługiwał? Chyba Ferencowie mają prawo do normalnego życia w ludzkich przyzwoitych warunkach, tak jak każdy inny mieszkaniec wsi! Ale ich egzystencję hamuje waląca się chałupa, której nie można ostatecznie zwalić, ponieważ stanowi zabytek budownictwa ludowego i chroni ją prawo.

Jest rzeczą słuszną, aby ten zabytek ocalał. Istnieje szereg projektów odnośnie dalszych jego losów. W kwietniu 1968 r. Władysław Ferenc zaproponował Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku kupno obiektu. Jak do tej pory brak stamtąd jakiegokolwiek odpowiedzi, tak jakby kierownictwu muzeum nie starczyły trzy kwartały czasu do namysłu. Z kolei Wydział Oświaty i Kultury Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Łańcutu wystąpił z pomysłem, aby chałupę przenieść w okolice bażantarni łańcutkiej i włączyć w kompleks obiektów należących do Muzeum Zamkowego. Zostało przecież trochę pamiątek po Raku: stary stół przy którym pisał swoje wiersze, prawie stuletni zegar, obrazek z 1863 roku, krzyż, trochę rzeźb w rękach prywatnych. Można by urządzić w chałupie małe muzeum Jana Raka. Turyści zwiedzający zamek i podziwiający hrabiowskie wspaniałości mieliby możliwość przekonać się, czym to zostały sprawione kosztem. Mogliby porównać, jak żyli w dawnych wiekach miłośnicy panowie i ich poddani. Taka konfrontacja będzie bardziej wymowna i pouczająca, niż objaśnienia, choćby najbardziej zlotoustego przewodnika na temat stosunków feudalnych w ordynacji łańcutkiej.

Ale również ten projekt jest chyba daleki od realizacji. Cóż, pan Ferenc może jeszcze poczekać. Ale quo usque tandem — jak długo jeszcze?

BYSZARD DZIESZYŃSKI

Nasz wiek XX

SALEM 1969

Szwajcaria. Każdy, kto ma prawidłowe skojarzenia powie: zegarki „Omega”, alpejskie krajobrazy, dobrobyt, nowoczesność.

Nikt nie powie o Szwajcarii: Średniowiecze. Tymczasem właśnie ona stała się terenem polowania na czarownic. Nie jakiegóż tam polowania w przenośni, ale jak najbardziej dosłownego. Ofiarą jest uczennica z wioski Hellikon w kantonie Argovie Bernadetta Hasler. Miała 12 lat, gdy zaczęto wypędzać z niej diabła. W maju 1966 roku została skatowana przy aktywnym udziale rodziców — na śmierć.

Sala sądu w Zurichu, gdzie toczy się proces jej oprawców jest oślepiająco jasna. Okna wychodzą na pokryte śniegiem góry. Tym bardziej niesamowicie brzmią mistyczne wywody głównych oskarżonych, Josepha Stockera i Magdaleny Kohler. Przewodzący rozprawę sędzia Hans Gut ma przed sobą 350-stronicowy dziennik Bernadetty. Poddawana bestialskiemu egzorcyzmom dziewczynka przyznaje się w nim do winy, opisuje również najwinnie co szczegółowo swe konfessje. „Gdyby ofiara robiła przynajmniej jedną czwartą z tego, co opisuje, wówczas nie miałaby czasu ani siły na nic innego. Tymczasem Bernadetta była w szkole uczennicą nie tylko dobrą, ale celującą” — stwierdza w pewnym momencie sędzia Gut.

„Nic dziwnego, gdyż diabeł odraabia za nią lekcję” — odpowiada z dewocyjnym uniesieniem Magdalena Kohler. „Nie ulega wątpliwości, że Bernadetta miała intymne stosunki z szatanem. Skądże bowiem mogłaby wiedzieć, że szatan nazywany jest także Lucyferem?” — sekunduje oskarżonej Joseph Stocker.

Wielki inkwizytor Stocker urodził się w Niemczech. Ma 60 lat. Jego ojciec był farmerem. Cherlawy fizycznie Joseph nie mógł pojąć śladem ojca. Czuł w sobie powołanie do stanu duchownego. Okazywana przezeń pobożność zwróciła uwagę miejscowego proboszcza, który skierował go do seminarium duchownego. Stocker ukończył je z doskonałym wynikiem. Okazał się utalentowanym, pełnym pasji i nieprzejednanym kaznodzieją. Przełożeni wróżyli mu dużą przyszłość. Wprawdzie niektórzy mieli mu za złe zbyt apokaliptyczne wizje, nadmierny mistycyzm, skłonność do samobiczowania się. Ale większość widziała w nim cenny nabytek kościoła katolickiego, co utorało mu z czasem drogę do stanowiska wicedyrektora seminarium duchownego w Salzburgu.

W latach 50-tych, na kongresie religijnym w zachodniemieckiej Konstancji, Stocker spotkał Magdaleny Kohler. Podobnie jak on pochodziła z południa Niemiec, z Singen. Jej życiowym celem było poście w ślady siedmiu krewniczek, które wstąpiły do klasztoru. W Konstancji została wstrząśnięta kazaniem księdza Stockera, który z większą aniżeli kiedykolwiek pasją gromił szatana. Odszukała kaznodzieję w konfesjonale, aby wyznać na spowiedzi, że ożywia ją również święta pasja.

Odtąd Joseph i Magdalena walczy z szatanem wspólnie. „Czy oskarżony był kochankiem Magdaleny Kohler?” — pyta sędzia. „Kochamy się w Bogu. Jest to tajemnica, niczego więcej nie mogę ujawnić” — odpowiada Stocker.

Co chwilę padają zdania, które dla ludzi wierzących brzmią jak świętokradztwo. Oskarżeni twierdzą, że pewnego dnia Bóg nakazał im udać się do Rzymu na rowerach. Sędzia poddaje w wątpliwość, czy Bóg może używać określeń również trywial-

nych, jak „na rowerach”. Stocker wyjaśnia: „Bóg wyraża się bez słów”.

Potem, po otrzymaniu błogosławieństwa papieża, Joseph i Magdalena wyjechali do Jerozolimy, gdzie jak twierdzą, Bóg zarezzerwował im nocleg. „Jakże Bóg mógłby się zniżyć do rezerwowania miejsc w hotelach!” — wykrzykuje oburzony sędzia. „Zaden drobiazg nie jest zbyt mały dla Boga, który liczy włosy na głowie każdego człowieka” — odpowiada Stocker.

W Jerozolimie, w klasztorze św. Karola Boromeusza, Joseph i Magdalena spotkali siostrę Stellę. Była też „nawiedzona”. Utrzymywała, że spisuje przepowiednie dyktowane jej przez Boga. W drogę powrotną do NRF ruszyli w trójkę, osiedli na fermie Magdaleny w Singen. Tu siostrze Stelli objawiona została przepowiednia niecodzienna: za rok koniec świata.

Ogłoszenie światu wielkiej winy wziął na siebie ksiądz Stocker. Rozpowszechniając ją wzywał do składania datków na Arkę Noego. Nie zawiódł się, datki napływały z całej Europy zachodniej. Tymczasem roczny termin wyznaczony przez siostrę Stellę minął, a świat istniał. Dwóch zawiadzonych subskrybentów wniosło skargę, wybuchł skandal. Stella schroniła się w jednym z zachodniemieckich klasztorów. Ksiądz Stocker znalazł się w gorszej sytuacji. Watykan ekskomunikował go, a ze strony władz cywilnych groził mu proces o oszustwo.

W krytycznej sytuacji Joseph i Magdalena przejrzyli listę ofiarodawców na Arkę Noego. Znajdowało się wśród nich nazwisko rodziców małej Bernadetty Hasler. Na nich właśnie padł wybór świętej pary, która postanowiła szukać schronienia w Szwajcarii.

Wybór okazał się dobry. Haslerowie widzieli w Josephie i Magdalenie Ojca Świętego i Matkę Świętą. Ci ostatni podzieliли swe role. Byli ksiądz Stocker udzielał codziennie błogosławieństwa domowi. Niosła siostra zakonna Magdalena spowiadała domowników, spisując skrupulatnie ich grzechy w notesie. Jej pojęcie życia bez grzechu rów-

noznaczne było z życiem w ascezie. Starzy Haslerowie otrzymali surowy zakaz korzystania ze swych praw małżeńskich. Dla jednego z ich synów, Eugeniusza, Magdalena znalazła przysługą towarzyszkę życia, ale wkrótce zerwała zaręczyny utrzymując, że związek młodych nie był dostatecznie czysty.

Okazało się, że świętej parze wierni pozostali również inni subskrybenci Arki Noego z okolicy. Do najgorliwszych należeli trzej kolejarze — bracia Barmettlerowie oraz sklepikarz Emilio Bettio. Magdalena poleciła mu, aby z własnych funduszy zakupił dla potrzeb sekty większy domek w pobliskim Ringwill. Bettio, poczciwy grubas, domek kupił. Nie żałuje tego, mówi przed sądem w Zurichu: „Najpiękniejszym dniem mego życia jest dzień, w którym spotkałem Ojca Świętego i Matkę Świętą”.

Początkiem tragedii stała się chwila, kiedy Magdalena zwróciła uwagę na małą Bernadettę. Prześliczna dziewczynka musiała być przeciwieństwem Magdaleny z czasów młodości. „Przyznaj się, że jesteś grzeszna!” — wykrzykiwała Święta Matka. Potem powiedziała Haslerom: „Diabeł wstąpił w wasz dom wraz z Bernadettą”.

Za zgodą rodziców Bernadetty, więcej, przy ich błaganiach, Magdalena podjęła misję przepędzenia szatana. Przeróżające seanse odbywały się w domku w Ringwill. Dziewczynka przyznawała się do wszystkiego, co zarzucała jej Magdalena. Teraz sąd próbuje ustalić, kto poza świętą parą brał bezpośredni udział w katowaniu Bernadetty. Jeden z braci Barmettler wyjaśnia, że w czasie jednego z seansów wyjątkowo nie uczestniczył w masakrze. Mówi tak: „Miała skrważoną całą twarz i bałem się, aby nie ubrudzić koszuli”.

W maju 1966 r. święta para uznała, że ostateczny czas, aby wypędzić diabła. „Bijcie ją, bijcie, ona wyzdrowieje” — wzywała Magdalena rodziców Bernadetty i innych uczestników chłosty. W pewnym momencie Joseph Stocker powiedział: „A teraz zostawmy ją, niech śpi. Zimno ją obudzi”.

W ostatnich zdaniach swego pamiętnika Bernadetta wyznała: „Chciałabym mieć przyjaciółkę w moim wieku, chodzić do niej na herbatę, spotykać się z kolegą, a przede wszystkim grać na skrzypcach. A jeśli nie mogę mieć przyjaciółki to chciałabym mieć chociaż kota lub papugę, do których mogłabym mówić”.

(AR)

Opracował:
WŁODZIMIERZ ŻRALEK

Najlepsza grafika stycznia

30 stycznia br. w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki — „Ruch” w Rzeszowie nastąpiło uroczyste wręczenie nagród w stałym konkursie na „Najlepszy rysunek i grafikę miesiąca”.

Z uwagi na stosunkowo wysoki poziom nadesłanych prac jury przyznało dwie pierwsze równorzędne nagrody — Bożenie Korskiej za pracę pt. „REFLEKSJE” i Jerzemu Biernatowi za pracę pt. „TOCCATA”.

Wyróżnienie honorowe otrzymał Roman Łyzka za pracę pt. „Napad” — (linoryt).

W dziedzinie rysunku, ze względu na małą ilość nadesłanych prac, nagród ani wyróżnień — nie przyznano.



BOŻENA KORSKA „REFLEKSJE” (akwaforta z akwafortą).



JERZY BIERNAT — „TOCCATA” (litografia).

Fot. M. KOPEC

Eksperyment: Ścieżka obok szkolnej drogi

Nie ma się ostatnio mówi i pisze o nierównomiernym poziomie szkół, stanowiącym jedną z przyczyn trudności, jakie przeżywają nasze dzieci w ośmiolatkach, w liceum i w szkołach innego typu.

Nic też dziwnego, że opinia publiczna domaga się usprawnienia systemu i metod nauczania. Wśród środków ułatwiających osiągnięcie tego celu wymienia się m. in. podniesienie kwalifikacji nauczycieli, czy lepsze wyposażenie szkół. Na pewno jest to niezbędne. Ale równocześnie proponuje się pewne ograniczenie najróżniejszych eksperymentów w oświacie lub rezygnację z nich, jako przedwczesnych. Czy takie stanowisko można uznać za słuszne? A może obie tendencje dadzą się pogodzić w jednym modelu? Wreszcie — czy jedna bez drugiej może rozwijać się pomyślnie?

Uchwała V Zjazdu PZPR w części zawierającej zadania szkolnictwa podstawowego i średniego podkreśla rolę nauk pedagogicznych w doskonaleniu organizacji, metod i środków

pracy dydaktyczno-wychowawczej. Innymi słowy, stwierdza się otwarcie, że konieczne jest dalsze ulepszenie pracy szkoły, m. in. drogą badań pedagogicznych i wcielania w życie ich wyników. Chodzi więc o związek pedagogicznej teorii z praktyką.

Czy realna teoria pedagogiczna może powstać w oderwaniu od życia, bez eksperymentu, bez doświadczenia sprawdzającego jej hipotezy. Konieczne jest wybieganie w przyszłość, torowanie drogi do wykształcenia na miarę czasów, w jakich żyjemy i będziemy żyć.

Wiadomo jednak, że sprawa nie jest prosta ani łatwa. Parę lat temu zapalono zielone światło dla eksperymentu w oświacie „w celu stworzenia warunków sprzyjających rozwojowi nowatorstwa i upowszechnienia doświadczeń pedagogicznych”, jak brzmiał wstęp do zarządzenia resortu oświaty z 1963 roku. Obwarowano je szczegółowymi przepisami, ustalono formy szerokiego stosowania naukowo sprawdzonych systemów wychowania i nauczania. Czy zdążył one swój życiowy egzamin?

Sięgnę znowu do moich wieloletnich obserwacji. Zdumienie zmieszane z podziwem ogarnia mnie, gdy w swych szkolnych wędrówkach trafiam do szkół eksperymentalnych. Uczestniczyłam w lekcji siedmiolatków, które bez trudu rozwiązywały skomplikowane matematyczne zadania za pomocą kolorowych klocek. Znam podręczniki do matematyki w klasach I — IV szkoły podstawowej, które znakomicie uczą logiki i samodzielnego myślenia. Brałam udział w lekcjach nauczania programowego w szkole podstawowej. W szkole średniej z obcym językiem wykładowym przysłuchiwałam się, z jaką swobodą młodzież wysławia się po rosyjsku, niemiecku, angielsku, czy francusku. Podziwiam dobre wyniki nauczania w zespolech, w grupach uczniowskich, w klasopracowniach wyposażonych w przedmiotowe pomoce naukowe. Brak miejsca na wyliczenie wszystkich eksperymentów i wysiłków pedagogicznych niezbędnych w dobie ogromnego zróżnicowania wiedzy i jej dyscypliny.

Równocześnie jednak trudno oprzeć się uczuciu swego rodzaju goryczy: te piękne nowatorskie poszukiwania prowadzone były — i są w dalszym ciągu — jakby obok głównego nurtu szkoły, idąc swym własnym odrębnym torem. A przecież głównym celem poszukiwań jest możliwość szerokiego upowszech-

nienia dobrych doświadczeń, wdrożenia ich do codziennej praktyki szkoły. Tymczasem jesteśmy świadkami pewnego, chociaż ciągle jeszcze zbyt nieśmiałego, rozwoju ruchu eksperymentalnego, przy równoczesnej stagnacji ogółu szkół. Próby lansowania nowych zdobyczy są stale zbyt skromne.

Zdaje sobie sprawę z tego, że moi adwersarze z miejsca spróbują oponować: nie stać nas na powszechne eksperymentowanie, kiedy normalne szkoły nie wyzyskały wszystkich swych możliwości; nie mamy kadr odpowiednio przygotowanych pedagogów, nie mamy wyposażenia itp. itd. Istotnie nie stać nas na wprowadzenie wszędzie nowatorskich wzorów nauczania i wychowania. Ale równocześnie nie stać nas chyba na to, aby eksperymenty pedagogiczne były „sztuką dla sztuki”, iluz naukowców boryka się z trudnościami tylko dlatego, że nie przekazano im w porę najlepszej, najbardziej nowoczesnej metody uczenia? A ileż dzieci z tego samego powodu zostaje w tyle za swymi rówieśnikami?

Wydaje się, że nadszedł czas, aby eksperyment pedagogiczny przestał być ścieżką obok szkolnej drogi. Niech ją zastąpi szeregiem gościniec, wiodących do równania w górę ogólnego poziomu szkół wszystkich szczebli.

MARYLA ZALEJSKA

Zbigniew Wawszczak

O Kolumbie i markowiakach
„Kordianie i chamie”

Słyszałem o Markowej to i owo, o wizycie Leona Kruczkowskiego, o pierwszej w kraju spółdzielni zdrowia, o zamożności i gospodarności tamtejszych mieszkańców. Słyszałem również zdania, że współczesna Markowa trochę jak gdyby zwolniła swój rozpęd, a w dziedzinie kultury obserwuje się wręcz zastój...

— A wie pan, można by sądzić, że jest to nawet swego rodzaju prawidłowość — dowodził jeden z moich znajomych — obserwuję to zjawisko nie tylko na przykładzie Markowej. Po prostu wydaje się, że pewne środowiska, ogromnie kiedyś dynamiczne, niejako zużyły zapasy swej energii, inicjatywy. Pozostały tylko wspomnienia o latach górnych, chmurnych...

Jak jest naprawdę? Czy takie tezy, jak powyższa to nie tyle prawda, ile raczej wygodny schemat? Pytania te narzucały mi się

natarczywie, kiedy w zimowy, ponury raczej dzień skręciliśmy w boczną drogę. Napis na drogowskazie głosił: do Markowej — 300 m. Droga opadała w dół, pojawiły się pierwsze domy, otoczone drzewami owocowymi, z prawej strony zbocze opadało w kotłinę, a na przeciwległym wzniesieniu, za pojedynczym chałup wyglądały wysokie i poszarpane skrzydła wiatraków... Nasunęły mi się jakoweś reminiscencje o przygodach sławetnego rycerza z La Manczy i jego wiernego giermka...

Tymczasem jednak wiatraki zostały za nami, inne obrazy zajęły moją uwagę. Zabudowania po jednej i drugiej stronie drogi układały się w obraz wyraźnie kontrastowy: obok obszernych, drewnianych chałup o pobielanych ścianach i wysokich, krytych strzechą dachach — czerwieńniali cegła nowoczesne domostwa, niekiedy wręcz z miejską skrojone, bardziej przypominające nowoczesne wille aniżeli tradycyjne wiejskie domy. Zresztą trzeba to wyraźnie powiedzieć, nie tylko przypominały, były takie same, niczym się od tamtych, podmiejskich wzorów nie różniły. Znaczna część owych starych, zresztą wyjątkowo pięknych domów, o doskonałych proporcjach, czego nie można powiedzieć o nowych, wsparta była na przystępnych konstrukcjach, które tyle niepokoju przysparzają naukowcom. A w ogóle zarówno w tradycyjnym, jak i nowym budownictwie widać było jakiś rozmach, i domy, i zabudowania gospodarskie wydały mi się jakieś większe, obszerniejsze aniżeli w innych wsiach. Zapisalem to na kartach zamożności markowian...

Tropami Kordiana i chama...

Mieszkańcy Markowej są dumni ze swych kontaktów z Kruczkowskim. Wszyscy ludzie, z którymi miałem okazję rozmawiać, chętnie wracali do tych klubnych tradycji. Nowoczesna pawilonowa szkoła podstawowa, znajdująca się mniej więcej w środku wsi, ciągnącej się blisko dziewięć kilometrów, nosi imię autora „Niemeów”. Kiedy jednak próbowałem dotrzeć do szczegółów, uchwycić bliżej atmosferę tamtego historycznego zdarzenia — spotykały mnie niepowodzenia. Mylono daty, nazwiska. Antoni Inglot, od 1955 roku wybierany na przewodniczącego Gromadzkiej

Rady Narodowej, przytoczył mi wprawdzie dokładną datę przedstawienia z udziałem Kruczkowskiego, ale sam przecież nie mógł nie o nim powiedzieć, gdyż sam był wtedy zbyt młody, aby brać w nim udział. Podał mi jednak parę nazwisk ludzi, którzy będą mogli zaspokoić moją ciekawość. Główny inicjator całej sprawy, poeta, działacz wiciowy o radykalnych poglądach, reżyser przedstawienia (pospółu z nauczycielem Dźwierzynskim), człowiek ogromnie zdolny i dla rozwoju kultury w Markowej zasłużony, Mieczysław Flejszar, zginął w 1945 roku od kul bandytów NSZ. Chciałem poznać Antoniego Olbrychta, współtwórcę sukcesów kulturalnych w okresie powojennym, niestety, i to okazało się niemożliwe. Olbrycht, jako księgowy kółka rolniczego był ogromnie zajęty przy bilansach, rozmawiałem z nim jedynie za pomocą telefonu. Poleciał mi Franciszka Bachtę, jednego z aktorów w pamiętnym przedstawieniu „Kordiana i chama” z 1937 roku. Niestety, pan Franciszek akurat wyjechał do młyna w pobliskiej Gaci. Jego sąsiada, Bolesława Homę zastaliśmy przy omłocie koniczyny. Owszem, brał udział w przedstawieniu, pamięta, że przyjechał na nie Kruczkowski, ale przecież to było tak dawno, życie nie szczydziło mu kłopotów, zapomniał wszystko, nawet, jaką rolę w „Kordianie” wypadło mu grać, że nie jedna z głównych, to pewnie... O, to by wiedział dokładnie „Franaszek”, inny Homa, (ale ten mieszka w Kosinie), albo ta położna, tu pada nazwisko, co przelożna się do Łańcuta. Wymienia jeszcze inne nazwiska, ale okazuje się, że ten jest w szpitalu, tamten wyjechał na stałe do syna... Moje usiłowania, aby dowiedzieć się czegoś więcej o kontaktach z Kruczkowskim, pozostały niespełnione.

— A przecież w tym przedstawieniu — dziwi się Jan Rewer — do którego trafiliśmy z kolei, — prowadzani po rozległej Markowej przez sołtysa, jak się okazuje również aktora (grał jednego z „mularzy” w „Zemście”) — było prawie 40 osób. Może rozpoznalibyśmy kogoś ze zdjęcia? — I sięga gospodarz, mężczyzna niewysoki, krzepki do paru teczek, w których przechowuje rozmaite dokumenty...

Szpera pan Jan, szuka wśród półkilkunastu fotografii, usiłuje mu w tym pomóc syn, student prawa, ale



Dziewczyna z dziennikiem.

Fot. M. KOPEC

Ryszard Bilski
Afrykański rejs

(1)

Pożegnanie z Ewą

Dwa małe holowniki „Cyklop” i „Niedźwiedź” zgrabnie uwijały się wokół „Rzeszowa”. Bez większych kłopotów odciągnęły statek od... Ewy — nabrzeża, do którego zwykle przybija sześciotyśięcznik powracający z dalekiej Afryki. Rozpoczął się więc wreszcie ten upragniony rejs. Wszystko już mam za sobą. I służbowe podróże do Warszawy po paszport, do Krakowa po wizę, do Szczecina po zaświadczenie stwierdzające, że podróż funduje Polska Żegluga Morska i bolesne szczepienia, które uchronią mnie przed żółtą febrą i czarną ospą.

No i pożegnania... Odprawa celna odbyła się nader szybko i sprawnie, choć jeden z celników na widok magnetofonu z nagraniem — sam się do tego przyznał, zupełnie niepotrzebnie — taśmą skrzywił się i powiedział, że będą kłopoty.

— To są piosenki od Rzeszowa, prezent dla marynarzy od dzieci ze szkoły „patronackiej”, bez tego nie pojedą...

Argument okazał się mocny, trafiłem w samą dziesiątkę, bo milczący dotychczas drugi celnik ożywił się, uśmiechnął i powiedział:

— Jestem z Tyczyna, był pan tam kiedyś, co się zmieniło... już ponad dwadzieścia lat jak nie odwiedzam rodzinnych stron.

Jest krajan, nie pytają mnie już więcej o taśmę, ani o zawartość torb podróźnych. Chociaż nic nie przemycam, o Tyczynie muszę jednak opowiadać, więc nie zapomnieliśmy o 600-leciu, nowym domu kultury, zakładach przemysłu terenowego, które produkują doskonale pompki samochodowe. Uraczyłem też celnika — tyczynskiego rodaka bombową wiadomością, że na rynku w samym centrum miasteczka odkryto złoża... węgla.

Dwa lata temu, bodajże po wiosennych roztopach zapadła się jezdnia, pod którą znajdowała się duża... piwnica z węglem. Przed jej zasypaniem należało węgiel „wydobyć”.

Byłem bardzo szczęśliwy, a jednocześnie i bardzo nieszczęśliwy. Na pewno miałem sporą gorączkę kiedy po uzyskaniu zgody redaktora naczelnego rozgłośni szczecińskiej połączono mnie z amplifikatorem i nagrywałem wprost ze statku pierwszą korespondencję dla radia w Rzeszowie... teraz to już uwierzą, że płynę do „tej” Afryki.

Przyznam się, że w końcu nie miałem już chęci jechać. Jak wszystko było daleko wyglądało radośnie, wesoło, pachniała wielką przygodą, kiedy zaś trzeba było wsiąść do pociągu szczecińskiego, natuzajam gdzieś diabli wzięli.

Mimo przejmującego chłodu i lepkiej, nieprzyjemnej mgły wszyscy wyszli na najwyższy pokład, jakby ich tak nie powstrzymywać pewnie powlaziliby na maszty. Mam na myśli oczywiście pasażerów, bo załoga zajęła swoje stanowiska. Pasażerów jest 12. Jedzie emerytowany górnik z Krakowa, pani magister — rolnik, kilka żon oficerów marynarki handlowej i wzbudzający powszechny szacunek literat — podróżnik Arkady Fiedler z synem.

Szczelnie otuleni w ortalonowej kurtki i płaszcze, zakapturzeni w budrysówki żegnają Szczecin. Ostatnie spojrzenia na port i panoramę miasta, zresztą słabo widoczną...

W takiej chwili robi się człowiekowi jakoś miękko i głupio, właśnie głupio. Sam nie wiem dlaczego, pierwszy raz od kilku miesięcy, mimo że miałem większe ku temu powody niż teraz, na PIERWSZYM KILOMETRZE (przepraszam — MILI) za Szczecinem.

Płyniemy kanałem w kierunku Swinoujścia. Przemierzalem tę drogę niejedną raz wodolotem w ciągu 70 minut, „Rzeszowem” zjeżdżając ponad trzy godziny, choć statek należy do szybkich. W praktyce 3 godziny wydłużyły się do 13, bowiem prawie 10 godzin trwała wymiana uszczelki w maszynie. Coż, po remoncie wychodzą prawie zawsze jakieś mankamenty.

Rano, podczas śniadania dowiedzieliśmy się, że w nocy była bardzo gęsta mgła, ze sterówki nie widać było dziobu statku. Płynęliśmy więc nogą za nogą.

Późnym wieczorem 23 stycznia weszliśmy do Kanału Kilońskiego. Przeprawa przez 96 km odcinek kanału trwała całą noc. Na statku znajdowało się dwóch niemieckich sterników i jeden pilot.

Morze Północne wbrew obawom, opartym zresztą na komunikatach meteorologicznych sprawiło nam miłą niespodziankę. Wcale nie kiwało! A przygotowani byliśmy na najgorsze. Mój współmieszkaniec, z którym dziele kabinę nr 44, wspomniany już emerytowany górnik przygotowywał się na najgorsze. Co się dało umocować, poprzywiązywał, idąc spać nie zdjął nawet zegarka w obawie, że może spaść z szafki. Przyznam się, że dałem się trochę zwieść panice... górnik mgr inż. Tadeusz Franiszyn ma nade mną przewagę kilku większych morskich podróży. Wie więc co robi. Zwiedza świat za górnicza emeryturę. Był już w Chinach, Wietnamie, Anglii, teraz zapragnął w styczniu afrykańskiego słońca.

Z początku „Rzeszów” wydawał nam się bardzo duży. Po kilku jednak dniach jest już mały, za-

czynamy się dusić. Robi się ciasno. Pomału ogarnia nas nuda. Telewizor nieczynny, radiola w salonie gra tylko na krótkich falach, które mają to do siebie, że co chwila zanikają. Chodzę z kąta w kąt, czuję się jak w „Trabancie”, a gdzież tam! O wiele gorzej... Całe szczęście, że mechaniki reperują aparat kinowy. Jest 10 filmów i ze 20 kronik.

Dotychczas największą i pewną rozrywką są posiłki. Jadalnia jest miejscem towarzyskich spotkań. Aktualna stała się frazka, że dla wielu sens życia to obiad, śniadanie i kolacja i... jedyna w tym racja. Po śniadaniu czytamy na głos „Swierszyk”, tak nazywają marynarze codzienną gazetę otrzymaną drogą radiową. Górnik — emeryta ucieszyła szczególnie wiadomość, że w losowaniu książeczek PKO (samochodowych) będzie można wygrać Polskiego Fiata, czeka na telegram od syna... w tej sprawie. Niech się doczeka, obiecał, że jak wygra, to cały zapas „Jarzębiaku” jest nasz.

Zaprzyjaźniłem się z młodym inżynierem z wrocławskiego „Elwro” — Jerzym Olechnowiczem, Elektronikiem, głównym konstruktorem prototypowego urządzenia zainstalowanego po raz pierwszy na polskim statku i to właśnie na „Rzeszowie”. Jest to rejestrator manewrów. Zapisuje wszystkie wydane i wykonane komendy podane przez telegraf maszynowy, a więc „cała naprzód”, „pół naprzód” itd. Zapis jest wzbogacony podaniem bardzo dokładnego czasu z zegara napędzanego przez generator kwarcowy. Całe urządzenie bardzo mądre i skomplikowane oparte jest na technice półprzewodnikowej, na półprzewodnikach krzemowych, znacznie lepszych od germanowych, bo nie tak czułych na zmiany temperatury. Rejestrator manewrów zapisuje także liczbę oraz kierunek obrotów śruby okrętowej. Gdy przez dłuższy czas nie się nie dzieje, urządzenie, co godzinę, włącza się samo automatycznie i rejestruje aktualną sytuację.

Przydatność nowego półprzewodnikowego cudeńka, które po próbach prawdopodobnie pozostanie już na „Rzeszowie” na stałe (lepiej, by się nigdy nie trzeba było do niego uciekać) polega na tym, że można bardzo dokładnie otworzyć sytuację, w wyniku której nastąpiło np. tak modne ostatnio zderzenie się statków i ustalenie winnego.

Znowu płyniemy bardzo wolno, znowu towarzyszy nam mgła. Po kilku godzinach wszystko się jakoś przetarło i „cała naprzód”.

Jest sobota, 25 stycznia. Godzina 14.30. Wyjął syreny, a więc mgła. Wypatrujemy pilota, który wprowadzi nas do portu w Dunkierce. Noc z soboty na niedzielę, niedzielę i prawdopodobnie cały poniedziałek spędzę więc we Francji. Daleko od kraju, a zarazem blisko mieszkańcam przecież w (na?) „Rzeszowie”, którym dowodzi bardzo blisko od kilku lat związany z Rzeszowem kapitan Żegludgi Wielkiej — Stanisław Lubański. Razem też będziemy zwiedzać Dunkierkę.

Listy
DO PRZYJACIELA

Piszę do Ciebie spod sterty pierzyn i koców, z hongkongiem w oku, tam-tamem w głowie, czując się po trochu tak, jak początkujący fakir, nieobeznany z techniką spania na gwoździach. Cały proces porachunków egzotycznego wirusa z moim wnętrzem przebiega podobno i tak nie najgorzej, skoro mogę wziąć pióro do ręki, choć podejrzewam, że to żaden medyczny argument. Pewne jest jedno, że ominęły mnie zwątpienia w jakość potraw, nie leżę więc z zatruciem po nieświeżej kaszance, tłustym półgęsku czy nylonowych parówkach, które to zatrucie niczym egipska plaga spadło na część nieświadomych hongkongu znajomych. Wychodząc z założenia, że należy pocieszać się małym, kiedy wielkie nas ogłusza — humor mam zupełnie poprawny.

Bo pomyśl, jak to miło cho-

rować, kiedy Marysie i Zosie skręca obok, kiedy zwała z nóg najwytrawniejszych znawców zubrówek i koniakowatych, kiedy czerstwe okazy zdrowia dźwonią do Ciebie jęklawie i z nadzieją pytając: ty jeszcze chodzisz? Nie chodzę, co prawda, za to leżę z ciepłutką świadomością, że nas kupa i że moje zwykle, polskie, dorocznie tradycyjne grupy przestały być polskie i tradycyjne. I jak to zabawnie słyszeć, że gazetę robią krasnoludki, a „Widnokrąg” pirasi w łóżku redaktor Gajewski pod jedną cytrynkę, dwa witalne i filiżankę mleka z czosnkiem. I jak to miło wspomnieć, że wraz z paroma kolegami zdążyło się jeszcze po balu prasy dobiec do łóżka, w którym spokojnie już można kontemplować to największe zagęszczenie złośliwych mikro-bów ostatniego karnawału.



O tych, co chodzili na „bandochy” i o Jaśku, co nie pojechał do Lublina...

bez większego rezultatu. Wreszcie jednak jest jakiś ślad, pamiętne zdjęcie, reprodukcje w katalogu wystawy „80 lat ruchu amatorskiego w Rzeszowskim”, autor „Kordiana i Chama”, autor markowskich aktorów. I dokładna data: 29 VI 1937 r. Ale czy to reprodukcja kiepska, czy inne powody, dość, że nie udaje się nam ustalić nazwiska któregoś z aktorów, który mógłby więcej opowiedzieć. Rozmowa schodzi na inne tematy, bo trzeba tu powiedzieć, że Jan Rewer należy do najwybitniejszych w Markowej przedstawicieli ruchu ludowego... Brał udział w pamiętnym marszu, chłopów na Przeworsk, w manifestacji w Nowosielcach, tylko daty nie trzymają mu się głowy...

— Przecież ten marsz pamiętam jak dzisiaj — tłumaczy mi pan Jan, długoletni pracownik spółdzielczości mleczarskiej (dziś już, jak mawiają sąsiedzi, siedzący w domu, na pensji, czyli rencie) — szły wtedy okoliczne wsie, Markowa. Góra zaczęła zbiorć, z każdej nieomal chałupny dołczał się nowi, ustawiali w czwórki, w Dębówie uformował się pochód, doszliśmy do płynącej pod Przeworskim Mleczki. Tu zatrzymaliśmy się, to był już ogromny pochód, z 16 tysięcy chłopów, a delegacja poszła do starostwa z postulatami. Świetlik, Kojder i ja też znalazłem się w tej delegacji. Starosta Pacelt przyjął nas grzecznie, przyrzekał spełnienie wszystkich naszych postulatów i w żaden sposób nie chciał nas pozegnać, ciągle przedłużając rozmowę. Dopiero później okazało się, jaki był tego powód: zabawiając nas rozmową, równocześnie posłał po strzelców konnych do Łańcuta. Gdy wróciliśmy nad Mleczkę, chłopcy wobec groźnej postawy wojska, rozproszyli się... Później, jak się dowiedzieli, że byłem w tej demonstracji, zwolnili mnie z roboty. Za okupacji byłem w Batalionach Chłopskich, u mnie w Spółdzielni znajdował się tajny magazyn broni. Po wyzwoleniu przyszedł do mnie późniejszy wicepremier, Stanisław Janusz i mówi: Jasiek, jedź z mną do Lublina. Tam się rząd polski tworzy, ten co będzie naprawę krajem rządził, dla nas ludowców są tam miejsca. — Ręka mnie boli — powiedziałam. — Zanim dojedziesz do Lublina — powiada Janusz — ręka ci się zagoli. I tak to z powodu ręki nie pojechałem — kończy jakby trochę melancholijnie Jan Rewer.

Powiał wtedy wiatr historii. Był może i przed moim rozmówcą, ra-

dykalnym działaczem ludowym, otwierała się wielka kariera polityczna... Pan Jan został w Markowej...

W Ameryce — byli przed Kolumbem!

Nikt nie potrafił mi powiedzieć, kiedy i w jakich okolicznościach narodziła się ta zabawna anegdota o mieszkańcach Markowej. Starzy opowiadają ją młodemu, a jest tak charakterystyczna, że i ja nie omieszkałem jej przytoczyć. Kiedy Krzysztof Kolumb dotarł do brzegów kontynentu amerykańskiego, w zdziwieniu spostrzegł, że nie jest pierwszym. Ujrzał bowiem markowiaka, jadącego wozem pełnym siana z kromką chleba, uwiązaną u tyler!

Prezes GRN, wspomniany już Antoni Ingłot, mężczyzna niewysoki, którego twarz ozdabia niewielki wąsik, uśmiechał się filuternie, zapoznając mnie z anegdotą o markowiakach i Kolumbie. O, szeroko znani są mieszkańcy tej wsi ze sprytu, gospodarności, pracowitości. Jeżeli chodzi o poziom gospodarki rolnej, zajmują jedno z pierwszych miejsc w powiecie łańcuckim. Przeciętna wydajność czterech ziół — 25 kwintali z hektara, zużycie nawozów sztucznych wysokie — 135 kg, wysoka obsada bydła, 102 sztuki na 100 hektarów. Jednym słowem, wieś o wysokim poziomie gospodarki rolnej. I nie będzie nas to tak dziwić, gdy zorientujemy się, że tradycje dobrego gospodarowania są tu stosunkowo dawne, pierwsze kółko rolnicze powstało w Markowej, jak mówił mi Jan Rewer, jeszcze pod koniec ubiegłego stulecia. Już wtedy podejmowano pierwsze kroki w kierunku likwidacji zagonów, stosowania nowoczesnych zabiegów agrotechnicznych. Ale to bynajmniej nie znaczy, że nie ma tu już nic do zrobienia. Trójki specjalistów w najbliższym czasie przeprowadzą analizę ok. 300 gospodarstw, określa istniejące rezerwy, wydadzą zalecenia. Akcja taka prowadzona była również w ubiegłym roku, ale jej wyniki są raczej przeciętne, jak poinformowała mnie sekretarz GRN, Janina Dziedzic.

W ubiegłym roku przedsiębiorstwo „Wodorol” rozpoczęło budowę wodociągów. Dostarczą one wody Markowej i okolicznym wsiom. Przewodniczący Ingłot wydobyl te czknie z planem przyszłej siedziby GRN: „W tym roku rozpoczynamy budowę naszego biurowca w czynie społecznym. Będzie kosztował ponad półtora

miliona zł”. Zapytałem, kiedy ostatecznie znikną strzechy? Powiedzieli mi, że w roku siedemdziesiątym 60 domów mieszkalnych, pokrytych jeszcze tym malowniczym, chociaż szalenie łatwopalnym materiałem, otrzyma ogniotrwałe pokrycie.

Markowa, to jedna z większych wsi w Rzeszowskim. Ma więcej mieszkańców aniżeli niejedno miasteczko, ponad cztery tysiące. Sądzą ją o miasteczko z sąsiednią Gacią, w okresie międzywojennym znajdowała się w zasięgu oddziaływania rozmaitych inicjatyw ruchu ludowego, w tym słynnego Uniwersytetu Ludowego Ignacego Solarza.

A teraz jeszcze dwa zdania o genezie anegdoty o Kolumbie. Zapobiegliwi markowianie narzekają na brak dostatecznej ilości własnych łąk, co przy dobrze rozwiniętej hodowli sprawiałoby im pewne kłopoty. Stąd też od dawna grupy mieszkańców wyprawiają się w rejon Kańczugi, czy Jarosławia w poszukiwaniu taniego siana. Może właśnie te wyprawy legły u podstaw narodzin owej „gadki” o Kolumbie?

O tych, co chodzili na „bandochy”

Mimo przysłowiowej zamożności mieszkańców Markowej, rezultatu ich wielkiej pracowitości, zapobiegliwoci, nie tak odległe są czasy, kiedy część tutejszych mieszkańców znajdowała się na skraju nędzy. Szczególnie wyraźnie zrozumieliem to w czasie wizyty u babci Sałótki...

88-letnia staruszka Maria Sałótkowa należy do tej, jak się wydaje, mniejszości markowskiej, dla której życie było szczególnie surowe. — Jak tylko podrosłam — wspomina babcia — musiałam chodzić na „bandy”, rodzice nie zostawili mi nic. Do naszego folwarku (w Markowej) — to nawet trudno się było dostać, tu byli tacy, co stale chodzili tam na zarobki, ja chodziłam do folwarków w okolicznych wsiach. Jeździłam też do Prus i Rosji, pamiętam, że byłam w Besarabii. Był tu taki Jasiek Szyler, miał kontrakt, pojechało nas 15 najbiedniejszych...

Babcia wychowała czworo dzieci, jednego z jej synów, Jana Sałótkę poznałam na posiedzeniu Prezydium GRN, którego jest członkiem. Z gniewem i gorzkim żalem mówił on o swej głodnej i chłodnej młodości. Służył u bogatego gospodarza i obyczajem wówczas praktykowanym, sypiał w stajni,

obok krów, przykryty dziurawą kapotą... Ta krótka zresztą wypowiedź powiedziała mi więcej o rozwarstwieniu klasowym wsi, o losie biedoty wiejskiej aniżeli uczone traktaty. W każdej wsi znajdowała się grupa tych bezrolnych, często bezdomnych zagrodników; jedyne co mieli — to ręce do roboty. I nawet w takiej wsi jak Markowa — wsi, która wcześniej aniżeli inne doszła do niezłych wyników gospodarczych — ich los — nie był lepszy!

Od „Kordiana” do „Niemców”

Afisz, wywieszony na budynku GRN zapowiadał na dzisiaj świetny film „Mondo cane”. Od ubiegłego roku Markowa dysponuje szerokoekranowym aparatem projekcyjnym. Mieszkańcy mogą więc oglądać atrakcyjne filmy. Młodzież chętnie zbiera się w „Klubie Rolnika” — finansowanym przez miejscowy — GS. Ostatnio Markowa otrzymała z Łańcuta wyposażenie klubu TRZZ „Arkona”. Dzieci, wykazujące uzdolnienia muzyczne uczęszczają do ogniska muzycznego. Biblioteka gromadząca dysponuje sporym, niezłe zaopatrzone księgozbiorem. Nie można więc w żadnym wypadku mówić o kulturalnej próżni a jednak... Ludzie, z którymi rozmawiałem, bynajmniej nie byli zachwyceni. Z rozczuleniem wspominali pierwsze lata powojenne, kiedy to regułą było co najmniej dwa przedstawienia w okresie zimowym. Repatriant ze Lwowa, nauczyciel tutejszej szkoły, Sławomir Grzyb skupiał najofiarniejszą młodzież wokół teatru amatorskiego. Finansowała ów zespół to gmina, to związek młodzieżowy a przede wszystkim straż pożarna... Z powodzeniem nawiązano do pięknych tradycji przedwojennego teatru Fleiszara, wystawiono nową świetną sztukę Leona Kruczkowskiego „Niemcy”, prezentowano komedie Fredry. Zespół zdobył na własność proporzec przechodni Ministerstwa Kultury, dystansowano innych na przeglądach powiatowych, wojewódzkich.

— To pokolenie, z którym wtedy pracowałem — wyjaśnia Sławomir Grzyb — to było zahartowane w trudnych czasach pokolenie Wiclarzy, dynamiczne pokolenie ZMP, to byli ludzie ofiarni, przyzwyczajeni do społecznej roboty.

— Czy to znaczy, że z dzisiejszą młodzieżą nie potrafiłby Pan prowadzić takiej roboty?

— Tego nie powiedziałem — zastrzegam się pan Grzyb — wręcz przeciwnie, jestem przekonany, sądzę, że mógłbym stworzyć zespół nie gorszy od tamtych sprzed lat, chociaż sytuacja na wsi uległa znacznym przemianom. Myślę tu o konkurencji świetnego teatru telewizyjnego, myślę o znacznie mniejszej ilości młodzieży, która pozostaje na wsi (większość idzie do szkół).

Nie zadaję pytania, dlaczego rozmiłowany w teatrze nauczyciel, trochę plastyk amator (córka jest już artystą-plastykiem z wykształcenia) nie podejmuje pracy nad rekonstrukcją teatru w Markowej.

Nie zadaję pytania, gdyż już wcześniej dowiedziałem się o tym, że w zasobnej składinie Markowej zabrakło grosza na opłacenie instruktora teatralnego. A nauczyciel wiejski żyje z pensji, każdy dodatkowy grosz jest dla niego cenny. Może więc tylko od ufundowania jakiegoś ryczałtu przez tamtejsze organizacje spółdzielczo-administracyjne zależy renesans ruchu teatralnego w Markowej, ruchu, który szczyty się tak pięknymi kartami?

Co zostanie po epoce „Kordiana i Chama”?

Czy tylko zacierające się w nie-trwałej pamięci ludzkiej wspomnienia? Na początku reportażu przedstawiłem jak ulotne są te wspomnienia i nietrwałe. — Dziwił się, że nie pomyśleliście o izbie pamiętek — zwróciłem się do przewodniczącego Ingłota.

— Myśmy już o czymś takim myśleli — odezwał się jeden z gromadzkich aktywistów, Józef Kluz — nawet zaczęliśmy już to i owo zbierać po wsi. Ale nie ma tego gdzie pomieścić.

— Skoro stać Was na elegancki, realizowany według niepowtarzalnego projektu biurowicy dla GRN — zaatakowałem przewodniczącego — to powinno się w nim znaleźć również pomieszczenie na izbę pamiętek! Nie każda wieś ma tak bogate i ciekawe tradycje kulturalne. To u Was przecież wystawiono sztukę Kruczkowskiego z rękopisu, wtedy kiedy było to bardzo niemile widziane przez władze sanacyjne. Owcześni działacze z Markowej z Mieczysławem Fleiszarem wykazali nie lada odwagę! To do Was po wojnie pisał autor „Kordiana i Chama” z prośbą o odszukanie rękopisu sztuki, zaadaptowanej z własnej powieści. I egzemplarz ów podobno znaleziono i przesłano pisarzowi! Gdzieś po ludziach blakają się zdjęcia, afisze, artykuły o tamtych wydarzeniach. Powinny ozdabiać Wasze małe muzeum. Tak samo zresztą jak dokumenty, dotyczące przeszłości wsi wybitnych ludzi, których wydała (choćby gawędziarza i pisarza, Antoniego Balawajdera), może nawet niektóre stare zanikające już narzędzia rolnicze, domowe, przedwojenne i okupacyjne gazetki, w Markowej wydawane. I podania, legendy (choćby o tym Marku, z którego bierze początek nazwa wsi) opisy dawnych zwyczajów (u Teofila Kielara przegadałem opis dawnego wesela markowskiego, sporządzony przez jego brata), w czterotysięcznej Markowej jeszcze niejedno można znaleźć!

Przewodniczący nie wyglądał na zbyt zachwyconego moją propozycją. A może tylko tak mi się wydawało? W każdym razie gorąco chciałbym jego i mieszkańców Markowej do tego celu pozyskać. Legiony markowiaków, rozrzuconych po kraju, wśród nich zastępy ludzi wykształconych, z pewnością pomogłyby w urzeczywistnieniu takiej izby!

Tyle nowości z ostatniej, przedepidemicznej chwili.

Wracając jednak na polską ziemię i do polskiego obyczaju — pisziesz, że nurtuje Cię zdanie jednego z krakowskich literatów, który je wyrzekł na spotkaniu z czytelnikami: „Niedobrze jest, gdy literaci przebywają tylko w gronie literatów, inżynierowie tylko w gronie inżynierów”...

To mądre i wiele mówiące zdanie — przyznaję. Myślę sobie nad nim w ciszy i znając parę hermetycznie zamkniętych klanów, jestem skłonna wystąpić szczerze przeciw tym puzkom samoudręczenia towarzysko-zawodowego. Świetnie jest, ba, jakże zdrowo jest, kiedy po skończonej pracy, już rozluźnieni psychicznie jeszcze raz próbujemy analizy, tego co zrobiliśmy. Naturalnie, że wszelkie korekty tego, co było, służą raczej przyszłości niż usuwaniu starych błędów, ale uczą i są pożyteczne. Zastanów się jednak, jak wyglądają te korekty w rzeczywistości i kogo się koryguje, gdy zbierze się dla przykładu trójka inżynierów? Czy mówią o swojej li tylko pracy? Czy też raczej o całym klanie nie — orłów, któremu zaprzędali swój wybitny talent? Czy spotkałeś się kiedy ostatnio ze szczerą krytyką na gruncie towarzyskim, z której by wynikało coś więcej, aniżeli złośliwość? Czy nie

czujesz tego ciężaru przemilczeń, półszepcowań? Swoistej izolacji właśnie Ciebie i Twojej pracy? W zamian — jak chętnie mówi się o błędach Iksińskiego za jego plecami! Byłam raz świadkiem dialogu brydżowego, gdzie licytacja pików była powodem do licytacji jadowitości nad morale tego czwartego, co nie przyszedł; brydżowy triumf wirał robił przy tym co mógł, by wypaść świetlanie na tle tego półgłupca, psującego produkcję a zgarniającego premię...

Milczałam, bo klan się znał i wiem z doświadczenia, że nieobecni racji nigdy nie mają. Czy to tak trudno jednak odwrócić w myśl sytuację i zobaczyć jednego z trzech obgadujących za drzwiami? Wierzę, że wtedy zmieni się nazwisko negatywne bohatera, ale metody pozostaną te same.

Znam środowiska bardzo nie-liczne i bardzo zamknięte. Śmiem twierdzić, że jest w nich o wiele duszniej niż w tych szeroko reprezentowanych zawodach; że zasada „wszyscy wszystkim mają za złe”, „wszyscy o każdym wszystko wiedzą” owocuje tu nader obficie. Wiem także, że nie sama idea pracy jest motorem mówienia o zawodzie, ale właśnie owa otoczka pochodna — owe finanse, awanse, apanaże. Bardzo ulonna jest natura ludzka i nie znosi wszy-

skiego, co nad przeciętność wyrasta. A niestety w zawodach umysłowych, w końcu ta nieprzeciętność bywa wyróżnikiem, czymś, do czego równać trzeba całej reszcie, co zmusza tę resztę do wysiłków wstępnych, jeśli nie chce się wlec w ogonie i skapcać intelektualnie.

Teoria integracji środowisk, śmiem twierdzić, długą ma drogę przed sobą do urzeczywistnienia i ma szanse pozostać w sferze pobożnych życzeń, jeśli dalej będzie istniała ta puzkowa hermetyczność klanów zawodowych. Trudno, żeby literat z literatem pasjonował się nową betoniarką, jeśli bliższa mu pasja nad kadencją zdania proustowskiego, bo je zna, bo spał z nim, bo próbował zaadaptować je do własnych problemów. Z praktyki dziennikarskiej płynie jednak wiedza o ludziach, toteż niekiedy muszą się zachętywać spotkaniem z nudnym pisarzem, jeśli obok mówi rzeczy pasjonujące o technice młody inżynier, w pierwszym przypadku bowiem fakty znane ktoś miał po raz setny, w drugim — podprowadza mnie inteligentnie pod krawędź moich możliwości poznania tajemnic techniki. Ile wartości kryje się w pojęciu integracji środowisk — na ogół zdajemy sobie sprawę. Pierwsza i naczelną wartość polega na likwidacji pierwszego i naczelnego zagrożenia naszego intelek-

tu — likwidacji ograniczenia się do problemów li tylko zawodowych, a tym samym ograniczenia horyzontów myślowych.

Zawód ukiada zazwyczaj człowieka na dwóch antypodach: humanistycznym bądź politechnicznym. Jeśli rozumiemy konstrukcję żelazka — nie bardzo rozumiemy Kafkę. I na odwrót. Kiedyś w młodości dokonaliśmy wyboru, który celowo prymitywizuje: Kafka — żelazko. Ale przecież to nie był wybór sposobu myślenia, lecz wybór umiejtności bliższych naszym predyspozycjom umysłowym. A one nie znaczą bynajmniej, że jeśli nie umiemy własnoręcznie skonstruować żelazka, to już nigdy nie pojmę dobrodziejstwa tego prozaicznego sprzętu i nie uwierzę, że w miejsce krasnoludków mają w nim zastosowanie prawa fizyki. I na odwrót: ileż to razy spotkałeś się z żaloso - pogardliwym (zważ — jak umięją wywazać proporcje tonów): cóż tam słyhać w świecie intelektualnym? Co w teatrze, w literaturze? I zadał Ci to pytanie niejednokrotnie człowiek z magisterium w kieszeni, znakomity konstruktor, świetny lekarz. Z góry zakładał, że ma prawo o nie wiedzieć, a ton zadanego pytania przeczy jakoby to było ważne, że ktoś zrobił świetny spektakl, bądź napisał wstrząsającą książkę.

Powierzchniowie sądzić by

można, że panuje obowiązująca, forma wzajemnej niechęci między humanistami a przedstawicielami nauk ścisłych; czai się jednak w tym konflikcie wzajemna nieznanomość, nie tyle z a k r e s u problematyki, ale s p o s o b u jej realizowania; a już zupełnie próczutko można by to nazwać wzajemną nieznanomością towarzyską ludzi tych dwu wielkich klanów naszej społeczności.

W ten sposób doszliśmy do punktu wyjścia: nie poważają się, bo się nie znają; nie rozumieją się, bo żyją poszuflakowani, pozamykani na kluczyki w swych małych środowiskach. Opanowani żądzą wzajemnego podglądania zawodowych sukcesów; nieciekawo życia poza planem zawodowym. Żyjący niepełnie i zżerający w zaduchu ambicyj środowiskowych nerwy i talent. Te pierwsze potrzebują spokoju; ten drugi — szerokich kontaktów, szerokiego oddechu, powietrza.

Ponieważ wszyscy spod znaku hongkongu także o niczym innym nie marzą — przeto kończę/już — z nadzieją, że wirus przestraszy się Twojej wspaniałej kondycji i zostawi Cię poza sferą swoich pirackich ataków.

KRYSTYNA

HENRYK KAWIORSKI

FURTKA

Ze stodoły był wspaniały widok. Uwielbiałem leżeć na strzechach. Rzekę, łąki i całą wieś widziałem na żywe oczy, a słońce grzało mnie w płacy. Tym razem wdrapałem się po gałęziach akacji na dach stodoły ze strachu przed babcią. Wypędzła mnie uparcie do kościoła na mszę, a mnie żadna msza nie była w głowie.

Wystawiłem głowę zza kalenicy. Stach, mój przyjaciel, dawał mi z chlewa znaki, żebym się schował. Ledwo to zrobiłem skrzypnęły drzwi domu i wyszła babcia, ubrana w świąteczną, kolorową, długą suknię, według mody sprzed pięćdziesięciu lat. Rozejrzała się po podwórzu, zawołała mnie. Przytuliłem się do nagrzanego stomy i chichotałem do rozpuku. Babcia znała większość moich kryjówek, ale tej nie. Wreszcie Stach zagwizdał na palcach — już poszła i jest daleko, nie ma obawy.

Zjechałem na plecach po kruszacej się słomie. Wymacałem stopą gałąź akacji i uważając na kolce spuściłem się na ziemię po pnju. Pomknęliśmy nad rzekę. Rozebraliśmy się do naga i skoczyli do wody. Nurknąłem do dna, palcami rąk dotknąłem szorstkiego piachu. Otworzyłem oczy. Otaczała mnie zielonkawa, miękka, piękna jasność.

Odepchnąłem się nogami od dna i jak ryba wyskoczyłem nad roziskrzoną powierzchnię wody. Wylazłem na brzeg, krzyknąłem na Stacha i pędem rzuciłem się do ucieczki przez łąkę, a on za mną, gwizdząc na palcach. Dopadłem kopki siana i z rozpędu wbiłem się w nią po szyję, a Stach skoczył mi bosymi piętami na plecy i zaczął po mnie skakać z wyciem i gwizdaniem.

Wtem uderzył dzwon przy kościele. Od razu mi się humor zepsuł. — Chodźmy do lasu — poddałem myśl, wciągając portki.

Stach wyciągnął wyszczerbiony grzebień i usiłował rozczesać włosy, twarde i sterczące jak druty.

Okrążyliśmy wieś chyłkiem, poza stodołami, żeby się na znajomego nie natknąć, bo dopiero by mnie babka zwyzywała od heretyków.

Las szybko mi się sprzykszył, bo w nim zimno, więc zawróciliśmy. Nóg czepiały mi się krzaki malin i czarnych, smakowitych dziańców. Stach jadł je pełnymi garściami, aż mu sok ściekał na koszulę.

Bruzdami i przykopami dostaliśmy się do torów. Za torami była droga wysadzona kasztanami, dalej ogród, a w nim technikum rolnicze.

Cieszyłem się na samą myśl, że zaszyjemy się w krzaki, pospimy, puścimy skrycie dym z papierosów.

Ogród otoczony był siatką. Pociągnąłem za klamkę furtki. Była zamknięta. Przycisnęliśmy twarze do żelaznych prętach i zaczęliśmy nasłuchiwać.

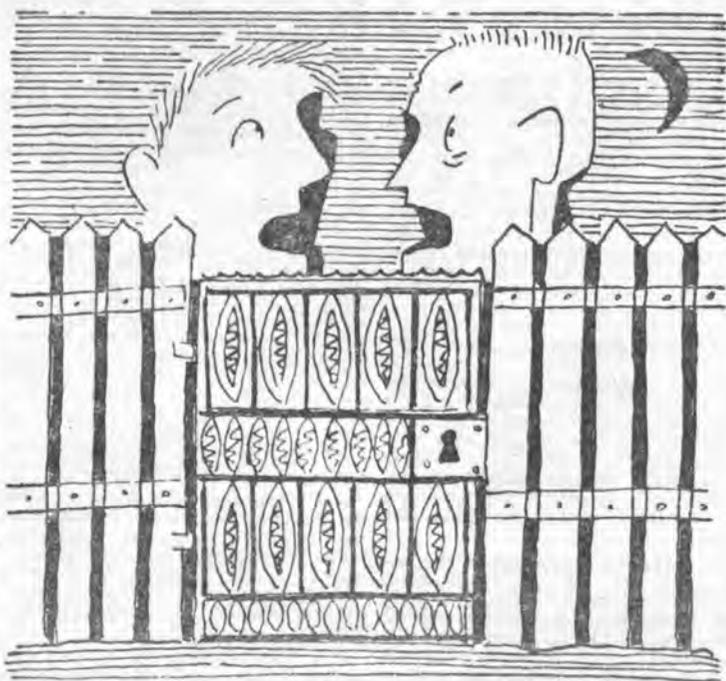
— Wakacje się kończą za dwa dni — powiedział Stach zaciskając palce na żelaznych prętach. Przyjechały belfry do technikum i od razu pokazały swoje. Furtkę zaparyły, patrzaj, żeby wsiowych nie dopuścić do ogrodu.

Zmarkotniałem w zupełności, ledwo mi przypominał, że za dwa dni trzeba się będzie rychtować na dobre do szkoły. Aż mnie brzuch z tego zmartwienia rozbolał. Do szczętu odeszła mnie ochota do życia.

Babki w domu nie zastałem, obiadu też nie. Podniosłem pokrywkę od garnka na zupe — pusty. Nic mi się w tym dniu nie kleiło. Smutny wyostałem się na stodołę.

Słońce przesunęło się na zachodnią stronę nieba. Wtem pośłyszałem ciche gwizdanie. Stach skrył się za rogiem chlewa i

kiwał na mnie. Poznałem, że ma ważną wiadomość. Odczekałem, aż babcia wejdzie do obory z wiązką siana dla krowy, zlałem po akacji i przeskoczyłem plot, z pośpiechu o mało nie wybiwszy zębów. Poszliśmy na zamczysko. Była to trudno dostępna, stroma góra za wsią. Wierzch jej zarastała trawa i pokrzywy. Stach rozpiął koszulę i wysypał prosto pod nogi zanadze jabłek. Spataszowaliśmy je z apetytem, a oczkami rzucaliśmy w pochylone nad krawędzią drzewo.



rys. J. SIENKIEWICZ

Stach opowiedział mi, że przed godziną przyjechał pociągiem od Jędrzejowa Klimek Nabiałek.

— Nie gadaj! — zerwałem się na równe nogi, jakby mnie ucięła osa. — No, puścili go na urlop z kopalni. Frajda będzie, jak się dowie, że furtka do ogrodu zaparta na amen. Co on tak lubił do ogrodu chodzić, w piłkę z chłopakami z technikum pokopać, a w karty zagrać w krzakach, a jeszcze teraz on z jedną dziewczyną z technikum chodzi, listy pisują, mają się nawet żenić, jak ona zda maturę. Ona jest z Młodzaw, znasz ją pewno, taka Danką, ma czarne włosy.

Klimek Nabiałek był silny i duży. Był naszym prowodyrem, dopokąd nie wyniósł się na Śląsk. Bez niego nie obeszła się żadna zabawa w remizie strażackiej ani wesele. Przychodził, choćby go nie prosili. Poprawiał krawat w żółte grochy, odpychał lokiem tych, którzy mu zawadzali w progę i wkraczał do izby, gdzie było granie, a nikt go nie śmiał wypędzić. Tylko raz znalazł się na weselu obcy, który Klimka nie znał i próbował go przegnać. Klimek dał się w spokoju chwycić za kark i jak owcę wypchnął na podwórko. Tu dopiero uderł kolek z plotu i przetrzącił obcemu girę. Przez to jego sława we wsi niepomniernie urosła.

Miał się zacząć nowy rok w technikum, do internatu ścignęły dziewczyny z okolicznych wsi i miasteczek, a on aż ze Śląska z kopalni do Danki.

Na drugi dzień, skoro świt, nim babcia się obudziła, spuściłem z łańcucha krowę i pogałem ją popaść w olszyncę za rzeką. Za godzinę przyszedł bydlę Stach i paru chłopaków. Rosa spadła na łąki i trzęsło nami zimno. Nazbieraliśmy gałązek w olszynowych krzakach i suchych, krowich łajen, usmykałem parę naręczy siana z kopek rozrzuconych po równinie, a Stach podebrał chyłkiem mło-

dych ziemniaczków. Rozpaliliśmy ognisko. Krowy nie trukały się, żarły trawę spokojnie, a my rozłożyliśmy się na czym kto miał wokół ciepłego ognia.

Gdy słońce spiło rosę z traw przyszedł do nas Klimek. Zrobiliśmy mu miejsce przy ognisku. Zjadł cztery czy pięć pieczonych kartofli. Widziałem, że miał na nie smak. Widać takich na Śląsku nie dawali. Podjadłszy wszczął z nami rozmowę, jakby z dorosłymi. Wypytywał nas, co się we wsi działo przez ostatni rok, bo on już rok, jak w kopalni siedzi i bożego świata nie ogląda. Opowiedzieliśmy mu skwapliwie, kto umarł, kto się ożenił, u kogo były chrzciny. Stach napomknął samochcąc o furtce do ogrodu, że była przed nami zamknięta, jakbyśmy nie mieli prawa.

— Od pół roku jest nowy dyrektor w technikum — powiedział Stach. Do wakacji zabrania chłopakom ze wsi przycho-

zyny tańczyły między sobą, bo nie było chłopaków.

Klimek, Stach, ja i paru jeszcze usłyszawszy muzykę, udaliśmy się do ogrodu. Ciągnęło nas to granie jak światło ły. Klimek nie namyślał się wcale. Chwył furtkę w swoje potężne łapska, butem zaparł się w furtkę i poszło, urwał zamek. Furtka skrzypnęła za nami przeżalnię.

Wkroczyliśmy kolejno do klasy. My, pętały ze szkoły podstawowej, małośmy się liczyli, ale na widok Klimka dziewczyny zapiszczały z uciechy. Antek Grela przegrał tango, a on zaprosił Dankę i przytulił ją do siebie w tańcu. Myśmy rozstawił się po kątach.

Zabawę przerwał dyrektor Gołębiowski. Stał niepostrzeżenie w progę klasy jak wykrzyknik oburzenia. Antek Grela zamknął miechy harmonii i poderwał się z krzesła, błady z przerażenia. Gołębiowski miał na ustach niedostępny, drwiący uśmiech jak chytry żebrak fałszując monetę.

Danka struchlała. Gołębiowski był wredny i mściwy. Dziewczyny pomiędzy sobą szeptały, że dlatego jest w nim dużo złości, bo ma niedobrą żonę o oczach żmii, z którą współżycie rozbuździło w nim wszystkie uczucia, oprócz uczuć miłości i radości.

— Niech pan natychmiast opuści technikum i ogród — powiedział sucho do Klimka. Nie życząc sobie, powtarzam, nie życząc, żeby do ogrodu przybłąkał się ktokolwiek ze wsi, kogo nie poproszę osobiście.

Klimek zostawił Dankę i zbliżył się do Gołębiowskiego. — Co, dziedzic w swoim majątku? Do łobu się dorwał i gorszymi od siebie pomiata? Jak to jest, bo ja jestem ciemny, wsiowy chłopak, mnie trzeba wyłożyć łopata czarno na białym, żebym wiedział.

— Mam wezwać milicję? — Aha, już wiem — odezwał się Klimek.

Podniósł rękaw marynarki i odsłonił przedramię, grube jak maczuga, obrośnięte czarnymi włosami, ze zwojami żył jak postrońki i kłębami mięśni. Dotknął tą maczugą twarzy Gołębiowskiego, aż ten cofnął się o pół kroku i plecami dotknął drzwi.

— Czego się, dyrektorze, boisz? Prawo masz zabronić przychodzić wsiowym do ogrodu, bo tu p r z e b y w a m ł o d z i e ż. Ale ja tego prawa nie uszanuję, chociażby piorun na piorunie. Powąchaj, czym ta ręka pachnie.

— Gnojem cuchnie — skrzywił się z odrazą Gołębiowski.

Klimek ułapił go za krztopę i kolaniem pomógł mu wyostać

się na korytarz w sposób nagły. Gdy ucichły kroki dyrektora, który pędził po schodach do telefonu, Klimek pocałował Dankę w policzek, a do nas zawołał:

— Chłopaki, chodu! — Nazajutrz Dankę wyrzucono z technikum.

Na trzeci dzień Klimek zdybał Gołębiowskiego na drodze kasztanowej i zastąpił mu przejście.

— Powiedz, urzędniku — rzekł — co zawiła ci ta dziewczyna. Może to, że była ze wsi? Powiedz szczerze. Ludzi ze wsi nienawidzisz, milicję na nich sprowadzasz... Kocham tę dziewczynę, którą ty znieważył, urzędasie brudny... Głos rwał się Klimkowi w piersiach. Jak śmiałość podnieść swoją pulchną grabę na dziewczynę, która jest tyśiąc razy więcej warta od ciebie urzędniku drobnym!

Nie czekał na wyjaśnienia. Zebrał w lewą garść marynarkę i koszulę Gołębiowskiego, ścisnął mocno, a prawą wymierzył mu cios w zęby, aż krew siknęła z rozciętych warg. Trzymał go kurczowo, zagryzł wargi, mięśnie szyi naprężyły mu się jak bały, zawładł się i kuł go w zęby raz koło razu, aż tamtemu zwisła głowa, obłana posoka. Wtedy upuścił go na drogę, jak łachman.

— Naści zapłatę za furtkę, której ci się nie uda zamknąć. Sąd skazał Klimka na pół roku więzienia.

Tymczasem zaczął się rok w szkole podstawowej, która znajdowała się za ogrodem. Ze szkoły do wsi mieliśmy dwie drogi, albo naokoło, przez werpety i rowy, albo o połowę krócej przez ogród. Zawsze korzystaliśmy z tej drugiej.

Wypadliśmy z klas z wyciem i tupaniem jak stado ogierów. Każdy z nas spieszył się do domu, żeby szybko zjeść i lecieć kąpać się pod mostem. Zatrzymała nas żelazna furtka, zaryglowana sztabą i spięta potężną kłódką.

Popatrzyłem pytająco na Stacha, on był starszy ode mnie i więcej wiedział.

Stach złapał furtkę i zaczął nią trząść jak gruszkę, aż zaczęła i dzwoniła. Wkiadał w to wszystkie siły. Twarz nabrzmiała mu z wysiłku i stała się czarna jak kęś węgla.

— Nie mam sił — jęknął zrozpaczony.

Wypuścił furtkę i oparł się o nią ramieniem, ciężko dysząc. Otaczaliśmy go milczącym, współczującym kołem. Ni stąd, ni zowąd wrzasnął:

— No na co się gapicie? Zamkniętej furtki żecie nie widzieli, gamonie jedne? Stanęli jak słupy. Wziębliście się i pomogli!

Nowy periodyk

„Wychowanie obywatelskie”

Zgodnie z uchwałami V Zjazdu PZPR w sprawie pogłębienia pracy ideowo-wychowawczej szkół Ministerstwo Oświaty i Szkolnictwa Wyższego wprowadziło do planów nauczania wszystkich klas szkół młodzieżowych, jakimi są licea ogólnokształcące i zawodowe, technika i zasadnicze szkoły zawodowe oraz szkoły przysposobienia rolniczego, po jednej godzinie tygodniowo dodatkowych zajęć z zakresu wychowania obywatelskiego.

Celem tych zajęć jest podniesienie poziomu świadomości klasowej i dojrzałości obywatelskiej młodzieży szkolnej poprzez poznanie ważnych wydarzeń społecznych i politycznych w kraju i na świecie, rozpatrywanie problemów wychowawczych z życia szkoły oraz organizowanie społecznej działalności uczniów na terenie szkoły i w środowisku, szczególnie poprzez różne formy samorządnej pracy.

Chcąc przysłużyć się pomocą wychowawcom klas, a także nauczycielom uczącym przedmiotu „Wychowanie obywatelskie” w klasach VII i VIII szkoły podstawowej i ostatnich klasach szkół średnich, Ministerstwo Oświaty i Szkolnictwa Wyższego przystąpiło w roku bieżącym do wydawania specjalnego miesięcznika pt. „Wychowanie obywatelskie”.

Pierwszy numer tego miesięcznika już się ukazał i w najbliższych dniach winien znaleźć się w szkołach. „Będziemy — piszą autorzy w artykule wstępnym periodyku — podawać źródła, skąd można czerpać

wiedzę o problemach ideowych, politycznych, etycznych i ekonomicznych. Będziemy starali się upowszechnić dobre doświadczenia, dyskusyjnie nad problemami, które takiej dyskusji wymagają. Zamierzamy również zamieszczać w naszym piśmie artykuły o charakterze konsultacyjnym, informacje biograficzne, recenzje, kroniki ważniejszych wydarzeń”.

Zgodnie z tymi zamierzeniami redakcji, wychowawcy klas otrzymują już w pierwszym numerze omawianego czasopisma bardzo dużo cennych wiadomości, materiałów i wskazówek metodycznych do pracy z młodzieżą.

Artykuły zgrupowano w dwóch dużych działach. W dziale pierwszym miesięcznika — zatytułowanym „Ideowe źródła — Polityczne motywy — Pedagogiczne zamierzenia” — podano wiele aktualnych i wyczerpujących informacji o Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i o jej przywódcach. Zamieszczono również tutaj obszerny życiorys i zdjęcia członków i zastępców członków Biura Politycznego KC PZPR oraz członków Sekretariatu KC.

W dziale tym znalazł się także artykuł Henryka Jankowskiego, w którym snuje on rozważania na temat „Ideologia, światopogląd, moralność”. Inny autor — Julian Senda — ukazuje „Perspektywy rozwoju socjalizmu”, a Józef Grudziński określa „Co to jest reformizm”. Drugi, obszerny dział czasopisma zatytułowany „Wymiana doświadczeń,

proponuje, opinie, głosy w dyskusji”. Jacek Węgrzynowicz w swym artykule „O V Zjeździe partii na zajęciach wychowania obywatelskiego”, ukazuje wychowawcom i aktywnej młodzieży ważniejsze problemy wychowawcze związane z uchwałami tego zjazdu. Autor drugiego artykułu Aleksander Musiał w swej pracy „Zajęcia z wychowania obywatelskiego” porusza wiele istotnych kwestii tego zagadnienia w pracy w oparciu o dotychczasowe pierwsze doświadczenia. Swymi doświadczeniami w pracy ze swą klasą dzieli się z czytelnikami czasopisma Jadwiga Harasymowicz w pracy „Lekcja nie kończy się z dzwonkiem”. Sprawa współdziałania uczniów zajęł się Stefan Szociński w artykule „Zajęcia z wychowania obywatelskiego” prowadzimy wspólnie z młodzieżą”, a sprawą oceny uczniów — docent Zofia Krzysztoszek w artykule „Wychowanie obywatelskie, a ocena szkolna”.

Dział drugi miesięcznika zamykają artykuły Alojzego Waszka „Uczniowski sąd koleżeński” i informacje o nowych książkach. Zamieszczone w tym numerze czasopisma kalendarium rocznic wydarzeń historycznych oraz programy telewizyjne i radiowe z zakresu wychowania obywatelskiego dla klas VII i VIII szkoły podstawowej stanowią jeszcze jedną pożyteczną informację dla prowadzących w szkołach zajęcia z zakresu wychowania obywatelskiego.

KORESPONDENCJE ● POLEMIKI ● DYKUSJE ● KORESPONDENCJE ●

Janina Guzowska

Czy tylko „kobieta bez ambicji”?

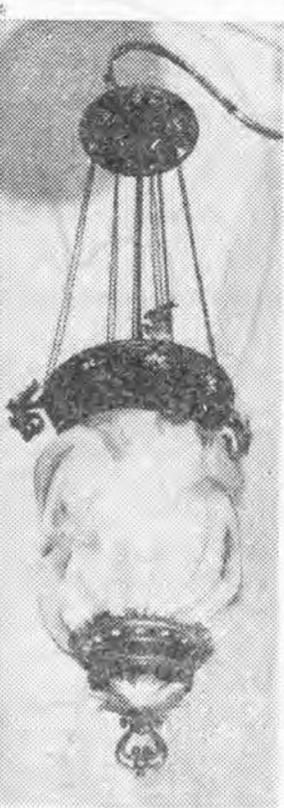
Artykuł Barbary Sidoreczuk w numerze 4 „Widnokregu” z dnia 26 I 1969 r., zamieszczony na czołowym miejscu czasopisma, zawierający wiecej sprawy, jak z tego widać pierwszorzędne, rzuca światło na kwestię rozwodów, w jednym zresztą tylko aspekcie.

Jak stwierdza autorka, powodem rozwodu, będącego tematem artykułu jest „wyrośnięcie męża ze związku, w którym kobieta intelektualnie pozostała daleko w tyle, przestając być partnerem równorzędnym, towarzyszką życia satysfakcjonującą ambicje mężczyzny”. (Cytat z artykułu B. Sidoreczuk „Ludzkie problemy”). Powód do rozwodu wydaje mi się raczej dziwny, ale jest widocznie wystarczający, skoro sąd przyjął go i zastosował jako motyw wyroku. — Myślę wszakże o czymś innym, nie o orzeczeniu sądowym, lecz o powodzie rozwodu. Małżeństwo — sprawa stara i niełatwa, współżycie wymaga często ofiar, a zawsze dobrej woli, nakłada obowiązki, którym trudno czasem sprostać. A jeśli rozwód jest coraz więcej, to patrząc na sprawę nie od końcowej fazy orzeczenia sądowego, ale od przyczyn, dochodzą do kwestii ambicji, lecz niekoniecznie prowadzącej do pokrzywdzenia zawsze i tylko kobiety.

Znam przypadkowo i to nie z listu do redakcji, ale z życia, sytuację następującą: zdali oboje matura, ona w liceum ogólnokształcącym, on w technikum i natychmiast po tejże maturze wzięli ślub. Lat mieli wtedy mniej więcej po 18. Rodziny nie protestowały, bo była raczej konieczność zalegalizowania związku, jaki już Adamowi i Ewie przyczynił sporo kłopotu. Wkrótce urodziło się dziecko, którym zresztą opiekowała się rodzina. Ale, że rodzina jest niezamożna, trzeba było zarabiać. Ten, który skończył szkołę zawodową, zaczął pracować, a młoda żona i matka uparcie studiowała. Dziś ma już studia ukończone i... rozwód. — W tym wypadku on ponosił ofiarę rezygnacji ze studiów. Nie wchodząc w szczegóły, czy był to „brak ambicji zawodowych”, czy jak by się to nazywało, rezultat ten sam — rozwód.

I tu dochodzę do sprawy ambicji posiadania tytułu magistra, czy inżyniera. Obawiam się, że wygłoszę jakiś niemodny pogląd, zażytyjacy czy konieczny każdy musi przed swoim nazwiskiem pisać skrót mgr albo dr? — Czy w sytuacji tych obydwu związków, o których mówię, nie można się było w ogóle obyć bez zbyteknych ofiar? Podjęć pracę zarobkową przez oboje dla zapewnienia sobie i dziecku utrzymania, zadbać o zwykłe ludzkie szczęście rodzinne, a z bogatego dziś życia kulturalnego i tak licznych środków prze-

kazu wiedzy, dostępnych każdemu, czerpać wspólnie. Może z czasem, po ugruntowaniu warunków materialnych i podchowaniu dziecka, dałoby się uzyskać i owe upragnione tytuły, bez szukania winowajcy w partnerze, czy partnerce, że to on, czy ona wstrzymują na drodze do awansu społecznego i że ktoś wyrasta ponad głowę drugiego. Małżeństwo to chyba nie zawody sportowe i nie o to idzie kto kogo prześcignie, a przecie i w sporcie nie wszystkie chwytaki dozwolone. I czy dziś nie jesteśmy w ogóle trochę zafascynowani pragnieniem posiadania tytułu naukowego? Pragnienie takie, jak każda ambicja może być godne pochwały, ale czy należy je realizować za wszelką cenę? A cenę tę płaci często ktoś trzeci — dziecko. Nie chcę upraszczać sprawy przez wprowadzenie tego argumentu najpowszechniej wysuwanego i najłatwiej dostrzegalnego. Pozostaje przy temacie — ambicja. Bywa dobrą, bywa złym motorem, który nie kontrolowany przez etykę współżycia z drugim człowiekiem, może zmiążyć życie.



...i znów modne Fot. A. ŁOKAJ

By zrozumieć i pokochać...

Jestem stałym czytelnikiem „Widnokregu”. Dobrze to na pewno, że w naszym województwie mamy takie pismo jak „Widnokreg”, w którym czytelnik zawsze może znaleźć dla siebie coś interesującego. Cieszy mnie bardzo, że Redakcja otworzyła kącik „Dyskusje — Polemiki” o literaturze, a szczególnie o poezji współczesnej, nawet tej z naszego rzeszowskiego podwórka. Lubię wiersze współczesne, czytam tygodniki literackie i tomiki poezji. Czytam także utwory starszych poetów, jak T. Różewicza, J. Przybosa, J. B. Ożoga, czy Stanisława Grochowiaka. Może młodym poetom daleko do takich wyšin w poezji, ale uważam, że poezja młodych nie jest zła. Słyszę czasem w rozmowach, że wiersze teraz są bez treści, że są niezrozumiałe dla przeciętnego czytelnika, że poeci sami nie wiedzą co w tych wierszach piszą. Chyba niewiele tu winy poetów, więcej może samego społeczeństwa, szkolnictwa, oświaty i kultury. Żeby zrozumieć dzisiejszą poezję trzeba nie tylko znać jej historię, ale i teraźniejszość. Trzeba śledzić

jej rozwój, kierunek i zaangażowanie, szczególnie poezji młodej, najnowszej. Myślę, że głównym celem poezji w naszym socjalistycznym społeczeństwie powinien być człowiek, z jego wszystkimi wartościami duchowymi i ideowymi. Dobrze by było, żeby Redakcja zamieszczała na łamach „Widnokregu” trochę więcej wierszy naszych młodych poetów. Jeden wiersz na dwa tygodnie przy dość dużych rozmiarach pisma, to stanowczo za mało dla wielbicieli poezji. Pamiętam starty i debiuty kilku naszych młodych poetów w „Dodatku Niedzielnym” „Nowin Rzeszowskich” i w pierwszych numerach „Widnokregu”. Pragnę podkreślić, że był to dobry start, że ich utwory są dobre. Lubię wiersze T. Piekły, Cz. P. Kondraciuka, W. Kulikowskiego, Sokola, Tondosa i innych. Jest w nich na pewno wiele zaangażowania, uczucia i umiłowania naszego regionu. Jest w nich na pewno coś, co pozwala zrozumieć i pokochać poezję.

STANISŁAW KOPACZ

Dla kogo te „szarady”?

Szanowna Redakcjo! Przeczytawszy w „Widnokregu” z dnia 29 grudnia 1968 r. nr 52 kilka mini-wierszy pomyślałam sobie, że te współczesne wiersze bez interpunkcji, logicznie powiązanych zdań, naprawdę przypominają maskaradę karnawałową. Ostatecznie raz w roku w karnawale zabawa taka może się odbyć, ale na co dzień budzi wprost niesmak. Przypominam sobie poszczególne słowa krytyków sprzed kilku laty, oczywiście osób w pełni wykształconych, na temat poezji współczesnej, oto one: Poezja współczesna podobna jest do szklanej kuli nie dającej się nawet paznokciem zarysować. Poezja ta jest chora. Jest to niezrozumiały bełkot bez sensu.

odosobniona w swej wypowiedzi, że większość myśli podobnie jak ja, a gdzie większość — tam chyba racja.

OLGA GUZIŃSKA Wiązownica, pow. Jarosław

„Biada śmiałkowi”!

Szanowna Redakcjo! Dziwi mnie fakt, że tyle gorących protestów wywołał artykuł P. Piekły. Co dziwniejsze, krytycy jego wypowiedzi, w wielu punktach zgadzając się z zarzutami P. Piekły. Wszyscy stwierdzają — krytyka jest potrzebna. Zgadza się, że bywają utwory marnie, niezrozumiałe, bełkotliwe itd., itd. A więc o co chodzi. Zarzut wielkiej pewnością siebie, którym obarcza się P. Piekłą, a „kwitnie” w wypowiedziach autorów artykułów. Him — ... może wykupiono patenty na nią. Uważam, że te osobiste wycedki pod adresem P. Piekły są niesmaczne. Trzy artykuły krytyki po kilka szpalt, to gruba przesada. To zaczyna być nudne. — Trzeba mieć litość nad czytelnikami. Wyzywanie opinii czytelników jest ryzykowne. Czasem trzeba liczyć się z tym, że przyjaciółka, która mówi „kochanie, brzydko ci w tym kapeluszu” nie jest złośliwa. Nie zawsze przyjaciel może chwalić. Ale chyba dość tego przelewania z pustego w próżne. Bo przecież wszystkie artykuły oprócz małych — złośliwości, nie różnią się treścią. Biada śmiałkowi! Pocięsza mnie fakt, że święta inkwizycja nie działa już — i chyba P. Piekło ujdzie z życiem. Czytelniczka z Przemyśla

Wyspiański po rosyjsku

Twórczość Stanisława Wyspiańskiego budziła żywe zainteresowanie w Rosji jeszcze w okresie przedrewolucyjnym — pisze w artykule z okazji 100 rocznicy urodzin autora „Wesela” Bolesław Rostocki w styczniowym numerze „Literatury Radzieckiej”. Tak np. przekład „Warszawiaki” pióra W. Wysockiego ukazał się w Moskwie jeszcze za życia autora w 1906 roku.

Wyspiańskiego nie tylko dało możliwość społeczeństwu radzieckiemu zapoznać się z jego twórczością, ale — co jest bardzo ważne — odśloniło przed teatrami realne możliwości wystawienia przede wszystkim „Wesela” i „Wyzwolenia”.

W roku 1916 warszawski Teatr Polski wystawił w Moskwie „Wesela” z udziałem Osterwy, Jaracza i Brydzińskiego. Szczególnie uroczyste obchodzono, przy żywym współudziale Towarzystwa Przyjaciół Radziecko-Polskiej, „Rok Wyspiańskiego” (1958). Szerokim zainteresowaniem cieszyła się wówczas wystawa „Stanisław Wyspiański i artysty jego epoki”. Jednakże przełomowym wydarzeniem w poznaniu przez społeczeństwo radzieckie twórczości dramatycznej Wyspiańskiego stał się rok 1963, kiedy to nakładem wydawnictwa „Iskustwa” wydano — w przekładach wybitnych poetów — tom utworów scenicznych, w skład którego weszły: „Wesela”, „Wyzwolenie”, „Legenda”, „Kłątwa” i „Noc listopadowa”.

„Anna - Maria” międzynarodowym przebojem

(hf). Zaprezentowana przez „Czerwone Gitary” na tegorocznych międzynarodowych targach płytowych — „MIDEM 69” w Cannes piosenka Krzysztofa Dzikowskiego i Seweryna Krajewskiego „Anna - Maria”, przyniosła nie tylko sukces temu zespołowi, ale sama również stała się popularna. Prawa autorskie do tej piosenki zakupiła w Cannes jedna z angielskich firm, z zamiarem rozpowszechnienia jej w Europie i na innych kontynentach.

tyczące spraw archeologii, etnografii, architektury, spraw społecznych i politycznych. Dobrze, że kilka ostatnich prac odnosi się już do naszej współczesności. Lepsze niż w poprzednich tomach zdjęcia dopełniają całość. Warta posiadania pozycja.

Joseph Conrad: LISTY. Wybór i opowiadanie Zdzisław Najder, przekłady Halina Carroll-Najder. PWN, s. 518, cena zł 40. Epistolografia — sztuka pisania listów. Nie każdy jest w tej dziedzinie mistrzem. Mimo to lubimy czytać cudze zwierzenia. Tym razem mamy okazję poznać epistolografie wybitnego pisarza angielskiego, polskiego pochodzenia, a na tej podstawie niektóre tajniki jego twórczości.

Stanisław Lam: ŻYCIE WŚRÓD WIELU. Przyg. do druku A. Lam. PWN, s. 450, cena zł 35. Wspomnienia człowieka, który z zamiłowań był historykiem literatury, z zawodu dziennikarzem, krytykiem literackim, redaktorem pism i wydawcą. Warto do tego dodać, że pisał je autor w pełni sił, w okresie okupacji, w zapadłej wsi górskiej w Alpach. Pierwsza połowa naszego wieku.

Kazimierz Ryć: SPOŻYCIE A WZROST GOSPODARCZY POLSKI. 1945—1970. KiW, s. 360, cena zł 30.

Jerzy Bafia: POLITYKA KARANIA PRZESTĘPSTW SCIGANYCH NA SKUTEK SKARGI POKRYWIDZONEGO. Wyd. Prawnicze, s. 128, cena zł 16.

Andrzej Karpiński: ZARYS ROZWOJU GOSPODARCZEGO POLSKI LUDOWEJ. Fazy rozwoju. Wyd. II, zmienione i rozszerzone. KiW, s. 196, cena zł 12.

B. Wysocka, M. Kwiczala: SZLAK PIASTOWSKI. Przewodnik. Wyd. Poznańskie, s. 180, cena zł 12.

Zbigniew Pękostawski: FOTOGRAFIA W PRAKTYCE AMATORSKIEJ. Wyd. Artystyczne i Filmowe, s. 388, cena zł 45.

WYCHOWANIE PATRIOTYCZNE W PRACY KULTURALNO-OŚWIATOWEJ. Poradnik pracownika KO. Zeszyt 9/10. CPARA, s. 272, cena zł 50.

Jan Piechura: LABORATORYJNA OBROBKA FILMU AMATORSKIEGO. CPARA, s. 94, cena zł 24.

WOJSKO. Album fotograficzne. Wydawnictwo MON. Opracowanie graficzne Piotr Borowy. Cena 150 zł.

Bardzo interesująca i ładnie wydana publikacja prezentująca na zdjęciach naszych najlepszych fotografów wojskowych (ale nie tylko woj-

skowych), współczesne, znakomicie wyposażone najnowszy sprzęt techniczny siły zbrojne Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Fotografiami ukazują się i sprawność różnych rodzajów wojsk oraz służb naszej armii, prezentują żołnierzy na ćwiczeniach, zajęciach i w czasie wolnym, przedstawiają pracę wielu instytucji naukowych, kulturalnych i oświatowych WP.

Zdjęcia uzupełnia przynoszący zwężenie, podstawowe informacje o ludowym Wojsku Polskim tekst, przygotowany przez zespół autorów z Akademii Sztabu Generalnego Gł. Zarządu Politycznego WP, Wojskowego Instytutu Historycznego, Zarządu Politycznego Marynarki Wojennej PRL i Wydawnictwa MON.

Jerzy Sawicki: PRZED POLSKIM PROKURATOREM. Wydawnictwo „Iskry”, s. 350, cena 28 zł.

Jest to czwarte, uzupełnione wydanie znanego zbioru dokumentów — protokołów z przesłuchań oraz zapisów sądowych z procesów zbrodniarzy hitlerowskich. Materiały zebrane przez polskich radzieckich oraz amerykańskich prokuratorów, zeznania oskarżonych i świadków w procesach przeciwko niemieckim zbrodniarzom wojennym w Polsce oraz przed Międzynarodowym Trybunałem Wojskowym w Norymberdze dotyczą sprawy zburzenia Warszawy.

Wstrząsająca lektura, ujawniająca wiele szczegółów z ponurego okresu naszej historii, jakim była okupa-

cja, i zarazem rzucająca jaskrawe światło na sylwetki tych, którzy dopuścili się potwornej zbrodni obrócenia w gruzy naszej stolicy.

Wacław Jurgielewicz: ORGANIZACJA LUDOWEJ WOJSKA POLSKIEGO (22 VII 1944 — 9 V 1945). Wydawnictwo MON, str. 459, cena zł 48.

Obszerna naukowa praca znanego historyka wojskowego obejmująca pierwsze 10 miesięcy istnienia ludowego Wojska Polskiego. Bogaty materiał opisowy dotyczący formowania i organizacji poszczególnych związków naszego wojska, wiele danych cyfrowych i tabel oraz wykazy wszystkich jednostek Wojska Polskiego w tamtym okresie. Książka z pewnością zaciekawi każdego, kto interesuje się najnowszą historią naszego kraju oraz historią II wojny światowej.

G. D. Krysienko: WSPÓŁCZESNE SYSTEMY OBRONY POWIETRZNEJ. Wydawnictwo MON (Biblioteka Wiedzy Wojskowej), stron 258, cena 25 złotych.

Tłumaczona z rosyjskiego książka zawiera przegląd i szczegółowy opis działania systemów obrony powietrznej stosowanych w krajach Zachodu, w zakresie metod i środków kierowania walką. Lektura specjalistyczna, fachowcy zadziwiają złożonością i skomplikowaniem współczesnych form wykrywania celów powietrznych i prowadzenia działań, które mają doprowadzić do ich zniszczenia.



NAD RZĘKĄ ROPĄ. Szkice historyczne. Wyd. Literackie, s. 826, cena zł 100. Czwórka. Piłtno.

Komitet redakcyjny, prezentując trzeci tom tej publikacji wydanej staraniem Stowarzyszenia Miłośników Ziemi Gorlickiej i PPRN w Gorlicach, pisze, że przewodnią myślą „...było ukazanie głównych linii rozwojowych regionu gorlickiego w powiązaniu z całością jego dziejów, wzbudzenie jeszcze większego zainteresowania przeszłością, wydobycie z niej wszystkiego co szlachetne i postępowe, twórcze i godne naświetlenia, dostarczenie społeczeństwu gruntowniejszej wiedzy o regionie”. Niestety, jak w większości tego typu przypadków, tom ukazuje się grubo po terminie, bo swą treścią odpowiada raczej obchodom Tysiąclecia Państwa Polskiego, co zresztą autorzy lojalnie w słowie wstępnym podkreślają. Ale taki już los nakładcy. Trzeci już tom „Nad rzeką Ropą” poświęcony jest więc historii 17 autorów prezentuje 23 prace do-

Kartki dla Ewy

Influenca

Gnębi ludzi niefortunna aura — skandynawskie mrozy, atlantyckie nize, gołoledź, śnieżyce i wichury. W Iranie wylały rzeki, marzną krymskie cytrusy i plantacje róż, a na Spicbergenie prawie błoto. Podobno najstarsi takiej zimy nie pamiętają, gdyż trafia się raz na sto lat. Mijamy więc nadzieję, że nas ominą klimatyczne kataklizmy, chyba, że coś się meteorologom pomyli. Z doświadczenia bowiem wiemy, że co druga zima jest zimą stulecia. Kiedyś być może nadejdą czasy stabilizacji atmosferycznej, zaplanujemy słońce i deszcz, na razie jednak muszą wystarczyć prognozy pana Wicherka.

Jedni twierdzą, że mrozy zapobiegają grypie, drudzy wręcz odwrotnie, ale wszyscy są zdania, że przed napaścią wirusów może nas uratować lipcowe słońce. Tymczasem do lata jeszcze daleko, a grypa drwiąc sobie z teoretyków atakuje piecuchów i zwolenników kąpiele w przełębi. Każdy z chrypką, bólem głowy i strzykaniem w kościach cierpi na Hongkong. Jegomościę z kocicowikami też tak reklamują swoje niedyspozycje, gdyż Hongkong brzmi zamorsko i pachnie wielką przygodą. Nawet lekarze zdradzili starą influencę dla obcokrajowca.

Przyznać jednak trzeba, że z grypą żartów nie ma. Jest to ostra choroba zakaźna, atakująca od czasu do czasu całe kontynenty. W 1918 r. epidemia hiszpanki pochłonięła najwięcej istnień ludzkich. Świat dysponował ubogim arsenalem leków, nie było sulfamidów i antybiotyków, to też zmarło na nią kilka milionów ludzi. 10—12 lat temu przeżyliśmy grypę azjatycką. Ta była znacznie mniej groźna.

Zarazek grypy odkrył w 1892 r. niemiecki lekarz i bakteriolog Richard Pfeiffer. Zakażenie następuje zwykle drogą kropelkową, szybko powoduje wysoką gorączkę, bóle głowy, mięśni, ogólną apatię, później niezbyt dróg oddechowych.

Lekarze rozróżniają różne formy grypy. Wszystkie formy mogą, ale nie muszą wystąpić razem. Grypa trwa od kilku dni do paru tygodni. Jest chorobą niegroźną, jeśli nie ma powikłań: zapalenia płuc, stawów, zapalenia ucha środkowego i niewydolności krążenia. Dlatego kto cierpiący, niech grzecznie leży w łóżku i słucha zaleceń lekarskich. Przez tydzień warsztat pracy nikomu się nie zawali, a zlekceważona grypa szybko prowadzi na dłuższy czas do szpitala. Kwestia zarażenia innych też jest bardzo ważna. W całym kraju ogłoszono stan epidemiczny. Zamknięto wiele szkół, notuje się zakłócenia w produkcji, handlu, komunikacji. Epidemia jest rzeczą kosztowną, a zlikwidowanie jej pociąga za sobą nakłady finansowe i wzmożoną pracę wielu ludzi. Ośrodki zdrowia czynne są także w niedziele, dłużej otwarte są apteki i ambulatoria. Lekarzom do pomocy przydzielono studentów kończących medycynę. Załogi wielkich przedsiębiorstw otrzymały leki profilaktyczne, sprowadzamy więcej cytryn, ekspedientkom polecono ubrać maseczki z gazy.

Ratujemy się indywidualnie i zbiorowo na różne sposoby. Każdy wierzy w inną terapię. Niejedni influmini poróżniają spirytusem, sądząc, że alkohol truje wirusa nawet wielkiego jak fortepian. Zwolennicy fitoncydów, wierząc w bakteriostatyczne właściwości czosnku i cebuli pozerają kilkanaście główek dziennie tej wonnej jarzynki. Gdyby tak jeszcze chodzili w maskach gazowych, świat mimo grypy byłby uroczy.

Dbamy o swoje zdrowie — witamy się bez podawania rąk, wszystkie klamki otwieramy w rękawiczkach, nie całujemy się, nie chodzimy do kina, nie odwiedzamy znajomych — oby się tylko bida nie przypiąła. W Samach obmacujemy buki i chlebuś, kichamy na artykuły spożywcze, w autobusie kaszlemy sobie wzajem w nos, dmuchamy w ucho, powiewamy chustkami do nosa.

Co ma wisieć nie utonie. Albo będzie Hongkong, albo nie! Trzeba wierzyć w cytryny i lut szczęścia każdemu przypisany. BEGA



TADEUSZ PYRCIOCH — członek Zespołu „Meluzyna” w Rzeszowie.

Rys. J. SIENKIEWICZ

Plany rzeszowskich archeologów

Od kilku już lat tereny Rzeszowszczyzny są przedmiotem penetracji archeologicznych, prowadzonych m. in. przez Rzeszowski Ośrodek Archeologiczny. Omówieniu planów badań na rok 1969, poświęcona została, zorganizowana w dniu 23 stycznia br. w Muzeum Okręgowym w Rzeszowie, narada archeologów z terenu naszego województwa. Wziął w niej także udział kierownik katedry archeologii polskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, prof. dr Rudolf Jamka. Warto tu zaznaczyć, że ten znakomity uczyony od wielu lat sprawuje patronat nad tym ośrodkiem.

Badaniami archeologicznymi w tym roku objęte zostaną: wieś Paluchy w powiecie jarosławskim, gdzie znajduje się ementarysko łużyckie, Lesko, Komarnice pow. Przemyski i teren Osiedla Tysiąclecia w Rzeszowie. Prowadzona będzie także szeroka akcja badań powierzchniowych i poszukiwawczych.

W czasie narady omówiono także plan działalności wydawniczej na najbliższy okres, obejmujący m. in. dwa tomy „Materiałów i sprawozdań Rzeszowskiego Ośrodka Archeologicznego za lata 1967 i 1968”. Plan pracy zakłada również organizowanie seminariów dla archeologów, na których wygłaszane będą referaty naukowe.

Rzeszowski Ośrodek Archeologiczny i w tym roku będzie utrzymywał kontakty z zagranicznymi ośrodkami archeologicznymi. Do tradycji należy już np. współpraca z Instytutem Historycznym Akademii Nauk Białoruskiej SRR. W ramach tej współpracy do Mińska uda się dwoje przedstawicieli Działu Archeologicznego Muzeum Okręgowego w Rzeszowie — mgr Kazimierz Moskwa i Anna Szalapała, a jesienią do Rzeszowa przybędzie dr Leonid Pobel. (stanski)

ZDARZENIA TYGODNIA

Ostatni (w ub. piątek) koncert symfoniczny Państwowej Filharmonii im. A. Malawskiego w Rzeszowie został poświęcony 60 rocznicy śmierci Mieczysława Karłowicza. Orkiestra pod dyktando Tadeusza Chachaja wykonała „Serenadę na smyczki” M. Karłowicza i „Etiudę b-moll” K. Szymanowskiego-Fitelberga. Solistą był chilijski pianista Oscar Gacitua, który wykonał „Koncert fortepianowy d-moll” J. Brahmsa.

W dniach 2—3 bm. odbyło się w Wojewódzkim Domu Kultury seminarium instruktorów żywego słowa, przygotowujących uczestników Festiwalu Poetyckiego.

Podczas zajęć omówiono strukturę wiersza i jej konsekwencje w recytacji oraz środki wyrazu artystycznego w recytacji. Ten ostatni temat przedstawił aktor Teatru Starożytności im. H. Modrzejewskiej w Krakowie Tadeusz Małach.

W ramach seminarium odbył się także (Wojewódzka Scena Twórczości Amatorskiej) występ zespołu teatralnego „Maska” przy Prez. PRN w Krośnie z repertarzem scenicznym Rolfa Schneidera pt. „Przybysz z Anglii”. Po spektaklu odbyła się dyskusja, którą prowadził kierownik literacki Teatru im. W. Sienkiewicza Jerzy Pleśniarowicz.

W piątek w Płocku rozpoczął się doroczny, VII Ogólnopolski Festiwal Poezji Broniewskiego i Poezji Zaangażowanej. Województwo rzeszowskie reprezentuje Teatr Poezji WDK, który przedstawi „Czarne kwiaty” Cypriana K. Norwida w reżyserii Dariusza Dubiela.

W czasie trwania Festiwalu wystąpią również indywidualnie rzeszowscy recytatorzy: Alicja Bercewska, Stanisław Pawlik i Józef Gmyrek.

W Uniwersytecie Ludowym ZMW we Włodowie czynna jest wystawa grafik rzeszowskiego artystyastyki Adolfa Jakubowicza. Uroczystość otwarcia wystawy została połączona z prelekcją autora prac na temat: „Jak patrzeć na dzieło sztuki”. Ilustrowana przedroczami (zbiory leningradzkiego „Ermittazu”). Na sali zgromadzili się licznie słuchacze Uniwersytetu — gospodarze klubów „Ruch” oraz młodzież okolicznych wsi.

Dziś tylko mały komunikat. Otóż w ostatnich dniach wyszła drukiem interesująca pozycja, której autorem jest doc. Franciszek Kotula wydawnictwa „Wydawnictwo Lubelskie” i nosząca tytuł „Folklor słowny osobliwy”.

Zawiera ona zbiory pieśni weselnych, poezje znachorskich zamówień, okolicznościowe koledy i pieśni różna.

Na naszym ekranie

„Angelika wśród piratów”

To już czwarte, lecz nie ostatnie spotkanie z kusząco piękną i wciąż młodą Angeliką. Opromieniony niesłabnącym powodzeniem pięćodcinkowy serial, reżyserowany lekką ręką Francuza Bernarda Borderie bez wysiłku i zbytniej reklamy utrzymuje się w czołówce najbardziej kasowych filmów świata. Takim samym powodzeniem cieszy się wydana w ponad 30 krajach wielotomowa powieść pary współczesnych pisarzy — Anny i Serge Golon, będąca literackim pierwowzorem filmów o zawsze kochanej i zawsze kochającej markizie Angelice.

Tym razem sprawny majster filmu reż. Borderie rozpedził się na dobre, przeskakując dotychczas przyjęte bariery filmów „plaszca i szpady”, w których konwencji realizował kostiumowo-przygodowe romanse historyczne, tj. „Trzech muszkieterów” i trzy poprzednie filmy z Angeliką w tytule.

Nowe, fortunnie wprowadzone elementy rodem z baśni „1001 nocy”, lub jak kto woli będące wytworem twórczej fantazji, nie „Angelice wśród piratów” nie zaszkodziły. Wzrosła odwrotnie: wzmocniły koloryt XVII-wiecznej przygody, zwiastując jej wizualną oprawę. Spowodowały też — co najmniej ważne — że wreszcie nekana przeciwnością losu, walcząca o szczęście u boku swego męża Joffreya de Peyrac, nigdy nie upadająca na duchu pożądana markiza, opuściła wytapetowane intrygami komnaty królewskiego dworu i zatechnie lochy zam-

ków z poprzednich serii, by wśród rozgwieżdżonego nieba Południa oddechnąć powietrzem śródziemnomorskiego pienu.

Oczywiście towarzyszą jej nadal niezwykle romantyczne, barwne i niebezpieczne przygody. Znów obraca się w świecie zła, przemocy i występku. Ale tym razem jej prześladowcy nie noszą koronkowych mankietów i plisowanych żabotów chciwej i zazdrośnej, zawsze fałszywie uśmiechniętej dworskiej kamaryli. Mniej skomplikowane są również metody działania zarówno półdzikich obwieszonych pistoletami i kordelasami korsarzy, jak i ciemnonolnych, ubranych w burnusy, gorącokrwistych synów Maghrebu. Właśnie ta sceneria pozwala nam stawić bez zbytniego kłopotu się zaaplikowaną nam, wyimaginowaną jak w arabskiej bajce treść filmu.

Upartej i dzielnej Angelice jest chyba wszystko jedno czy zły los rzuci ją na targ niewolników czy na podkład korsarskiego statku, nad którym powiewa sztych „Jolly Roger”. Wie, że i tak musi mu stawić czoła. Wie, że szczęście nie przyjdzie samo, toteż potrafi o nie walczyć i gotowa jest za nie płacić każdą cenę. Gnębiona i poniżana, spychana wciąż na dno ludzkiego upodlenia nie przypomina jednak ówczesnych buduarowych cierpielnic, nie przyjmuje w pokorze zadawanych jej ciosów. I chyba głównie dlatego jest nam jakoś bardziej bliska, bardziej współczesna, bo nie

mieszczą się w ramach dumasowskich romansów historycznych. Pozornie nierozważny, wciąż balansujący na granicy niebezpiecznego hazardu temperament Angeliki wyda się nam z pewnością bardziej zrozumiany, gdy dojdziemy do wniosku, że filmowa markiza wyprzedziła znacznie swą epokę i walczy na równi z mężczyznami o prawo do szczęścia, tak jak by to uczyniła każda współczesna kobieta.

„Angelika wśród piratów” przynosi nam jeszcze jeden element nie mieszczący się w schematach siedemnastowiecznych romansów przygodowych. Jest w nim cień erotyzmu. Wprawdzie występująca w tytułowej roli ponętą i kuszącą Michèle Mercier już w poprzednich seriach nie skąpiła nam swych wdzięków — czego zresztą chyba nie żałujemy — tym razem jednak należałoby przestrzec świętoszkowatych purytanów, że z piratami nie ma żartów i że niewiele w tym filmie będzie dwornych ukłonów i szarmanek uciałowań rące. Będzie za to coś więcej niż fizyczny wdzięk, którym tak świetnie operuje Michèle Mercier — córka aptekarza z Nicei, dziś pierwowzorem aktorka francuska.

Rzecz jasna, tak jak w poprzednich seriach, u boku jej występuje (dość rzadko, gdyż los stale ich rozłącza) renomowany aktor Robert Hossein, czyli hrabia Joffrey de Peyrac. Zjawia się jak zawsze meski, jak zawsze romantyczny, by dać

znękaną Angelice krótkie chwile szczęścia, po których znów przyjdą dni cierpienia i poniewierki.

Ci widzowie, którzy oglądali poprzednie filmy z Angeliką z pewnością zrozumieją właściwie intencje reżysera Borderie. Są one bardzo proste: nie przejmować się serio losami pięknej, poniżanej i krzywdzonej markizy. Wszystko co się dzieje na ekranie jest tylko romantyczną

bańnią, obojętnie czy rozgrywaną wśród nadmorskich palm, czy na pokładach żaglowców. To tylko zabawa i rozrywka, bo odważna Angelika wykaraska się z najgorszych opresji.

Przekonacie się o tym sami, gdyż już niedługo wejdzie na ekrany następny, tej serii film „Angelika i sultan”.

ADAM ZARZYCKI

